

15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

olnaw 4. 5

PAMIĘTNIKI

JÓZEFA WYBICKIEGO

Senatora Wojewody królestwa
polskiego

WYDNE Z RĘROPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.

•••
TOM DRUGI.
•••

POZNAŃ

W drukarni Walentego Stefańskiego.

1840.

0 1 2 3 4 5 6 7 8 9



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

140960 I /5

140960 I /6

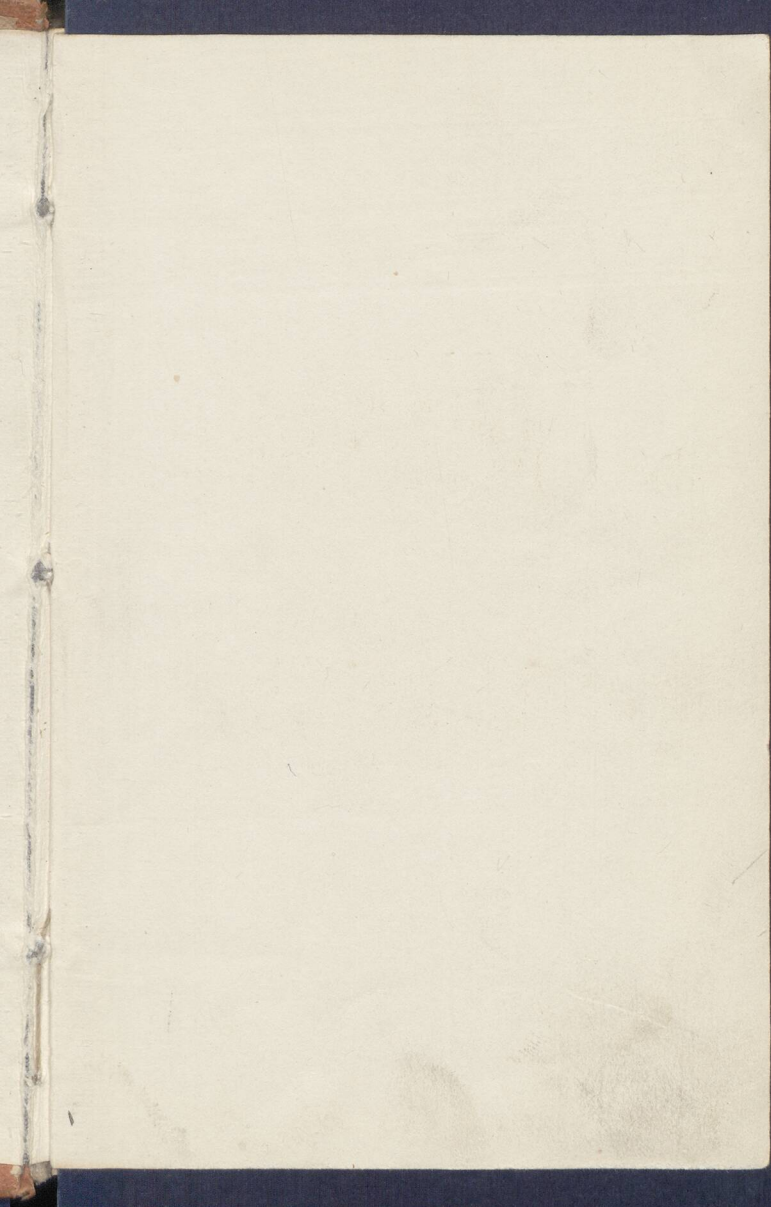
BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU

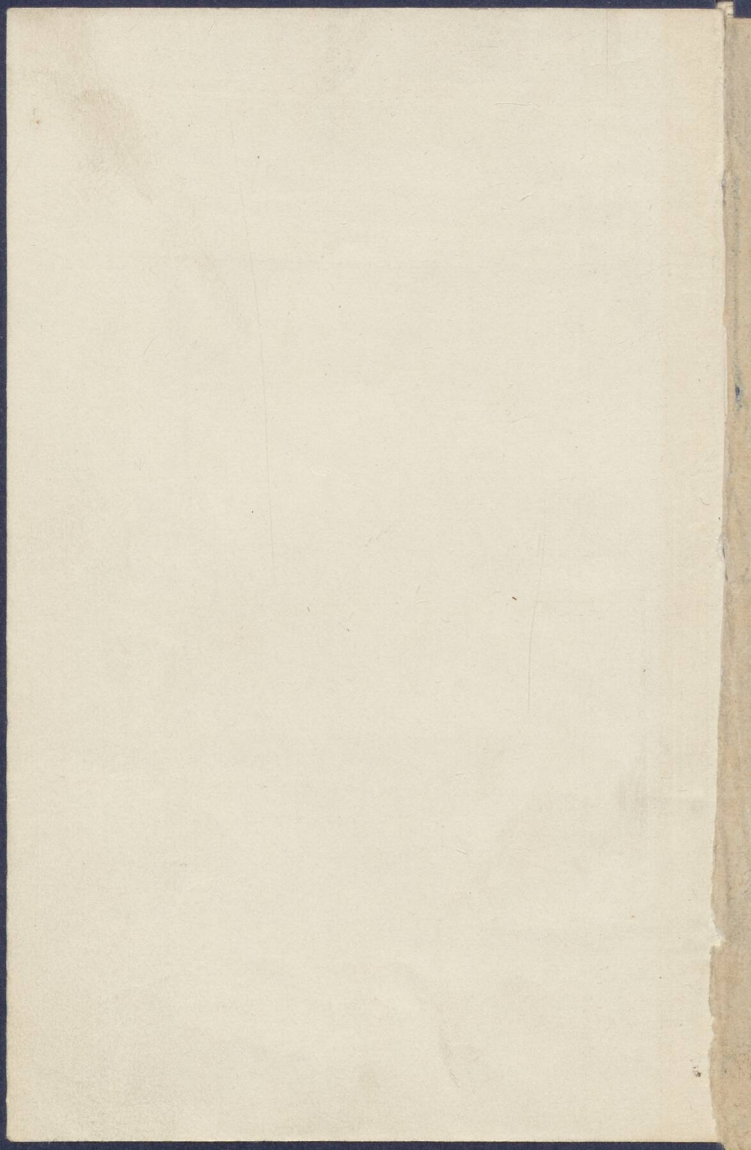


140960

Wypożycza się
tylko do czytelní







opisane 9. 5

PAMIĘTNIKI

JÓZEFA WYBICKIEGO

**Senatora Wojewody królestwa
polskiego**

WYDNE Z RĘKOPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.

•••

TOM DRUGI.

•••

POZNAŃ

W drukarni Walentego Stefańskiego.
1840.

PAMIĘTNIKI

JOZEF WYBICKI

Wydawnictwo Literackie
Polskiego

WYDAWCA

1409607/5

Wydawnictwo Literackie



W. 1936/7. 1154
POZNAŃ

Wydawnictwo Literackie
1936

ROZDZIAŁ VI.



§. 1.

Polityczne życie autora po 1wszym podziale Polski.

Po wytrzymaniu tój pierwszej burzy, cały zajęty byłem gospodarstwem upiększeniem domu, w celu umieszczenia żonki. Zwierzyłem się mych skłonności matce, która z początku na wszystko zezwoliła, przyrzekając mi wypuścić dobra z pod dożywocia; z czasem jednak dowiedziawszy się,

iż moja kochana nie była posażna, czyniła mi macierzyńskie przełożenia. Ja w gospodarstwie zakładając wzrost majątku, wiele poczyniłem melioracyi; między innemi postawiłem wielką papiernię, która dotąd zapewne dość sławna. Było to najwięcej skutkiem, żem był w Hollandyi, gdzie różne fabryki i budowle w tym rodzaju widziałem. Szło mi wszystko pomyślnie, a że nauki stały mi się konieczną potrzebą, dzieliłem mój czas między rólność, a czytanie książek, przybrałem sobie nawet kilku młodych z méj familii, i im niektórych wiadomości udzielałem. Była to mała akademia.

Tak blisko rok upłynął, a ja o méj Kunusi ciągle myślałem. W tym czasie odebrałem umyślnego z Margoni-
na, że pan generał Skórzewski umiera, i że pani generałowa z matką swoją, panią Ciecierską, pragną, abym

do nich pospieszał; przypisała się także do téj odezwy Kunusia; nie mogłem temu wezwaniu odmówić i do Margonina pojechałem. Jenerał Skórzewski na mych rękach skonał; odwiózłem go do grobu Reformatów w Łabiszynie. Pani jenerałowa wdowa, obszerne mi czyniąc nadzieje, ofiarowała mi za żonę swoją siostrzenicę. Ożeniłem się, i w kilka dni po ślubie, gdy się także coraz słabszą czuła, wyjechała do Berlina.

Jam został mężem ślicznej i cnotliwej osoby, ale bez wszelkiego majątku i bez wiedzy matki. W Margoninie zarzucała mię babka interessami, nie wspomniawszy o losie moim. Matkę wypadło mi przebłagać, żem się bez jój wiadomości ożenił. Przebłagana nakoniec, otworzyła mi swój dom, gdzie z żonką pojechałem. Po różnych odmianach przyjechałem na żądanie babki do

Margonina, gdzie mi ukochana żona, nie żyjąc zemną jak dziewięć miesięcy, umarła, będąc już blizką po-
logu. Przed tą okropną dla mnie stratą, nad którą długo nieukojone lzy lałem, dał mi książę Jabłonowski, wojewoda poznański, a potem kasztelan krakowski, podwojewództwo poznańskie.

W ten sposób wyszedłem znowu na świat polityczny, i lubo ten urząd nie wiele był znaczący, mile go z ręki tak przyjacielskiej przyjąłem. Były to skutki znajomości i związków naszych w czasie konfederacji barskiej, szczególnie podczas bawienia się naszego w Wiedniu. Śmierć mojej żony, tak mocno dotknęła matkę moją, iż wkrótce także umarła. W tych nieukojonych żalach, i zawsze jak w obcym żywiole pod rządem pruskim nieukontentowany żyjąc, oddałem się znowu naukom, i odwa-

żyłem się wydać książkę, pod tytułem: „myśli polityczne o wolności cywilnej.“ Słaby owoc niedojrzałych moich wiadomości, uczynił mnie jednak znajomym w Warszawie. Przyписаłem to dziełko J. W. Raczynskiemu.

Tymczasem przeniosłem się prawie zupełnie do Polski, szczęśliwy, że mogłem znowu być Polakiem. Bawiłem się w Wielkopolsce, podwojewództwo sprzedałem i gdy ów sejm sławny roku 1776. nieśmiertelnego Andrzeja Zamojskiego, do napisania praw krajowi wezwał, udałem się do Warszawy w nadziei służenia ojczyźnie jako prawnik. Przyjął mnie mile książę wojewoda poznański i w swoim dworze umieścił. Tam mając sposobność poznać się z różnemi osobami, a zawsze szukając uczonych, chciały losy szczęśliwe, iż ci mnie do liczby swojej przyjąć raczyli.

Tu się zaczęła najchlubniejsza epoka życia mego. Ręka tajna, co losy ludzkie kreśli, przeznaczyła mi ufność, względy i przyjaźń polskiego Arystyda, Andrzeja Zamojskiego. On mnie wezwał do pomocy ułożenia kodexu praw, dzieła wiekami oczekiwanego, które jemu naród jednomyślnie poruczył. Nim mógłem tak chlubnemu odpowiedzieć wezwaniu, prezentować się musiałem królowi, którego od sejmu roku 1767. nie widziałem, a jako poseł i konsyliarz barski w niezupełnie przyjemnej zostawać u niego musiałem opinii. Przyjął mnie jednak dobry król zwykłą słodyczą i do pracy około praw zachęcił.

Nie będę opisywał długich naradzeń, projektów do dzieła; powiem tylko, że pióro, czyli redakcyja doniego mnie powierzona została. Zacząłem w ten sposób być najenotliwszego z ludzi domownikiem; praca moja stała,

gorliwa, pozyskała mi zupełnie jego ufność. Przybraliśmy z prawników Węgrzeckiego, Grocholskiego, w duchu przecież prawodawstwa prawdziwego przystarczali najwięcej światła, ksiązę Krysztof Szembek, biskup plocki, jw. Chreptowicz, podkanclerzy litewski, prócz których z wszystkich części Polski i z zagranicy pisali, i przyselali nam swe myśli uczeni. Ja odezwałem się do mego profesora prawa w akademii lejdejskiej Pestela, który mi jako uczniowi swemu z radością nadsyłał uwagi, które jako i inne dowody do historyi mego życia należące, w dodatku przyłączę, nie chcąc sobie tutaj przerywać.

Przybywszy do Warszawy, to mnie w prawdziwie ciężki smutek wpędzało, że mą znalazł całą wesolą i powiem na łożu rozkoszy i zbytków razem z królem uspioną. Nieszczęsny podział kraju zupełnie na zniewie-

ściałych umysłach został zatarty. Nikt nawet o tém nie wspomniał, i nawet o tém wspomnieć do złego należało tonu. a)

Cieszyli się z tak nazwanego pokoju. Im dłużej bawilem w Warsza-

a) *Krótki rys sejmu konfederacyi deligacyjnej, za laski Adama Ponińskiego, w roku 1773. zaczętego, a w roku 1775. skończonego:*

W wigilią dnia zacząć się mającego sejmu, z uniwersału N. P. wyznaczonego, posłowie koronni zjechali się do jw. Młodziejowskiego, kanclerza koronnego, a litewscy do jo. księcia Masalskiego, biskupa wileńskiego, gdzie tak w pierwszym jako i drugim miejscu nieszczęśliwej konfederacyi stał się związek, na którym powołany do laski sejmowej Poniński; a litewskiej jo. książę Michał Radziwiłł, wówczas miecznik litewski. — Dnia pierwszego sejmowania Lętowski, podkomorzy krakowski, starą podniósł laskę, jako pierwszy poseł, a z miejsca swego tak podniósł głos, iż już konfederacya stanęła, pod którą sejm rozpoczęty zostanie, a gdy się posunął do oddania laski Ponińskiemu, posłowie: Tadeusz Rejtan, Samuel Korsak i Bohuszewicz, ruszyli się z miejsca nie pozwalając na konfederacyą. Korsak zatrzymał laskę, oddawaną Ponińskiemu, a Rejtan podniósł drugą laskę, przygotowaną dla marszałka konfe-

wie, tém mnie więcej martwił jój widok w stósunkach moralnych. Za-

deracyi litewskiej, wszczął się rozruch przez arbitrów dawających oklaski, z głośném wołaniem: „Vivat!“ lecz po trzykrotném uderzeniu laską przez Rejtana, w największej cichości izba została, i Rejtan tak mówić zaczął. Jesteśmy tu zwołani za uniwersalem N. P. na sejm wolny, bez wzmianki o konfederacyi; a że ten sejm przez alternatę na prowincyą wielkiego księstwa litewskiego wypada, a elekcyja marszałka sejmu wolnego z posłów być powinna; pytam się, czyli zgoda, abym laskę podniósł? Na to niektórzy arbitrowie krzyknęli: zgoda! Poniński w tém głośném zamieszaniu strwożony, nieznośnym głosem na jutro na godzinę 10 zasolwował sessyą; Rejtan zaś po trzykrotnem laską uderzeniu, zasolwował sessyą na godzinę dziewiątą.

Drugiego dnia Poniński nie znajdował się w izbie poselskiej, tylko przysłał Drzewnowskiego, sekretarza konfederacyi, który stanąwszy we drzwiach, oświadczył, że Poniński jutro swą obecność obiecuje. Rejtan, Korsak, Bohuszewicz, Dunin, poseł Łęczycki i wielu innych, złączywszy się, przymusili Łętowskiego, brata podkomorzego, wówczas podczaszego krakowskiego, aby choć poniewolnie zasolwował sessyą. W tym dniu miał głos Korsak, tłumacząc gołębiowską konfederacyą za

cząłem nawet żałować Zamojskiego, jak mógł się podjąć pisać prawa kra-

króla Michała, że miała na celu zabezpieczenie i uszczęśliwienie ojezyny; terażniejsza zaś skryta, podstępna, przez miliony ludu oplakana.

W dniu trzecim, gdy tylko trzech zostało posłów litewskich, Rejtan, Korsak i Bohuszewicz, przybył Poninski z oficerami rosyjskimi do izby poselskiej, gdzie we drzwiach padli na ziemię Rejtan, Korsak i Bahuszewicz, nie wpuszczając go i wołając głosem żalonym: o miła ojezyno! już giniesz na wieki. Czterech oficerów rosyjskich przestąpiło tych posłów, a Poniński stojąc za drzwiami, dumnym tonem in ordine połączenia się izby poselskiej z senatorską, na jutro zasolwował sessyą. Ci trzej posłowie cały dzień nie jedli, choć od Karasia, marszałka królewskiego, przyniesiono im obiad; oddali go żołnierzom, warty trzymającym w zamku, mówiąc: izba nie potrzebuje jedzenia, tylko obrad publicznych, przynoszących szczęście dla ojezyny. Dopełnili prawa przepisu, że do trzech dni wolna jest elekcyja marszałka sejmowego, i tak noc całą przepędzili, w ciągu której przysłani od ambassadora rosyjskiego, Borch, wówczas podkomorzy koronny, Gurowski, marszałek nadworny wielki litewski, w celu perswadowania im, aby do konfederacyi przystąpili, z ofiarą od trzech

jowi, który się wyzuwał z swój zacności narodowej, który już nie miał

dworów: Stackelbega, ambassadora rossyjskiego; Rewitzkiego, austriackiego i Benoit, pruskiego, po 10,000 czerwonych złotych, pierwsze urzędy i królewszczyzny, aby tylko odstąpili od przeciwnego zdania. Lecz oni to wszystko odrzucili z wzgardą, delegowanym odpowiadając: o wy obywatele! co prawo macie zaprzedać waszych współrodaków, nie tentujcie naszej cnoty. Ani konfederacya, ani posłowie nie mają prawa odstąpić kraju. Czy nas nieszczęśliwych ścigać będą waszych wnuków.

Gdy już w dniu czwartym król mocno grożącym zastraszeniem przez posła rossyjskiego zagnalony został do podpisu; Korsak poszedł za radą księcia Czartoryskiego, kanclerza litewskiego, w tych słowach się do niego odzywającego: czysty, chwalebny dopełniłeś obywatela obowiązek; teraz życzę ci i radzę, abyś odjechał w dwóch godzinach do domu, będziesz miał paszport, nie narażaj się złośliwym ludziom, którzy ci zaszkodzić mogą, przyjdzie jeszcze ten czas, gdzie staniesz się użytecznym i potrzebnym ojczyźnie. Czego usłuchawszy, wyjechał z Warszawy. Poniński niebawnie pozwał do sądów konfederackich Rejtana, Korsaka i Bohuszewicza. Wypadł dekret od czci, sławy i majątku ich odsadzający; lecz za wdaniem

cechy samowładztwa i niepodległości, bo mu poseł rossyjski we wszystkich obradach rozkazywał. Na jedném z naszych posiedzeń, przeczytawszy Zamojskiemu me myśli, które do układu dzieła prawotwórczego zebrałem, przedstawiłem mu również moję troskliwość i obawę względem jego pracy. A gdy dodałem, że dawni filozofowie nie chcieli pisać praw dla ludzi zepsutych obyczajai, postrzegłem z cnotliwego Zamojskiego twarzy, iż ten wyraz wielkie na nim

się księcia Czartoryskiego, kanclerza litewskiego, został cofniętym i z akt deliminowanym, przez wezwanie Drzewnowskiego, sekretarza. Rejtanowi bawiącemu w Warszawie, Lontulus, generał pruski, dał protekcyą i wartę honorową, aby był pewnym życia.

Rejtan, Korsak i Bohuszewicz, chodzili późniéj do grodzkiej kancellaryi, dla zrobienia manifestu; lecz Puchała, wówczas regent téjże kancellaryi, pokazał na piśmie rozkaz, pod karą odpowiedzialności, aby się go nie wazył przyjmować.

zrobił wrażenie. Odpowiedział mi tylko: już łódź odbita od brzegu, trzeba się puścić na fale! Ksiądz Szembek, biskup płocki, mąż wielce światły i cnotliwy, pochwaliwszy moje uwagi, rzekł: starajmy się przez prawa uczynić ten naród moralniejszym! Nakoniec odezwał się Chreptowicz: Nie traćmy o tym nadziei, nie jest tak zepsuty, kiedy cnotliwego Zamojskiego jednomyślnie za prawodawcę przyjął!

Zaczęliśmy na nowo działać; co niedziela zwyczajne mieliśmy posiedzenia; na które z przydanym mi sekretarzem, panem Baszyńskim, potrzebne zbierałem materyały. Król mnie zobowiązał w sobotę bywać u siebie i już ułożone projekta komunikować, które zwykle z wielką uwagą czytał i zgłębiał i mnie różne zadawał kwestye. Jednego razu, gdy mu przyniosłem statut Olbrechta o

chłopach, dodając, że to prawo wskrzeszone delikatnie, aby szlachty nie oburzyć; zapomniawszy, że król, zbliżył się do mnie i uściskał, prosząc, abym u niego na obiadach czwartkowych (na zawsze te obiady mądrymi były nazwane) bywał.

Tak więc do obiadów mądrych przypuszczony, jeździłem na nie w towarzystwie mego mecenasa Zamojskiego. Prócz przysmaków stołu, wiele miałem prawdziwej rozkoszy być w tém zgromadzeniu, w którém istotnie najuczestni znajdowali się rodacy, a których przy téj sposobności miałem szczęście poznać. Król sprawiedliwie między niezonymi miał pierwsze miejsce. Jemu się tron na Parnasie należał, ale nie tron Sarmatów, gdzie coś podobnego do Piotra lub Frydryka mogłoby ten naród przerobić i znaglić do wzięcia téj postaci, do jakiej przeznaczyła go natura.

Zwykle przed obiadem zaczynały się rozmowy o umiejętnościach i sztukach. Sławny Naruszewicz, dziejopis i rymotwórca, przy wesółym swym temperamencie, zwykł, niby naczelnik, zagajać posiedzenie jakimi przyjemno-zabawnymi rozprawy. Co przecież do piękności i tęgości wierza przechodził go Trębecki, a gasło wszystko, gdy się czasami ukazał Krasicki. Tam raz pierwszy poznałem sławnego męża Ignacego Potockiego, którego logika, przyjemne wysłowienie i głębokie myśli zwykle mnie zachwycaly. Wreszcie każdy tam jakąś daninę muzom przyniósł; moje położenie było najprzykrzejsze, bo zagadniony od króla w materyi prawniczéj, z przykrością od belletrystów byłem słuchany. Po obiedzie rozpoczynały się na nowo rozmowy uczone i do nich szczególnie król należał, który obficie starcząc wina,

sam tylko pił wodę. Miał wino wcale kosztowne węgierskie, które Popielem nazywał, tego dając po małym kieliszku i sam małeńki kieliszek zwykł wypić. Jeden biskup Naruszewicz miał prawo do kilku kieliszków. Zastąpiłem też tam pewnego razu między innymi goszczącymi brygadiera francuzkiego Jakubowskiego, który razem z dziadem moim Lnińskim służył.

Ale wróćę się do mojej kolei życia prawotwórczego. Zarzuceni zawsze byliśmy różnemi odezwami i projektami. Pisałem i ja przy méj ogromnej pracy anonimie listy patryotyczne do Zamojskiego, które w swym czasie wiele miały pokupu, czytano je i na obiadach czwartkowych, nie wiedząc, że ja autorem. Ja już dzisiaj nie mam ani jednego egzemplarza. Uczynił z nich wyciąg Anglik Kok, co czytałem w jego podrózach. Wy-

jął całkiem uwagi nad artykułem naszych chłopów poddanych.

Zamojski opatrzył bibliotekę w zbiory prawodawstwa różnych krajów, które zwykliśmy czytać, a przysyłane listy od prawników i uczonych ze wszystkich stron, wyczerpały, powiem, wszystkie źródła prawnictwa. Są tego po większej części u mnie zachowane rękopisma, gdyż wszystkie odezwy były w moim składzie. Dostrzegaliśmy już wtenczas, że mało nam się spodziewać należy zgodności na sejmie. Szła jednak praca, gdy tymczasem nowe mnie czekało przeznaczenie w roku 1777., gdy mnie kommissya edukacyjna wizytatorem szkół litewskich zrobiła.

Trzeba wam wiedzieć, że po zgasyłym zakonie Jezuitów, którzy, jak czytaliście w początku mego życia, byli arbitralnymi samowładcami edukacyi publicznej, król, któremu miło-

ści do nauk zaprzeczyć nie można, uchwalił był z sejmującymi w roku 1775. stanami, utworzenie kommissyi edukacyjnej, której dozór nad zaszczerpieniem i rozkrzewieniem edukacyi publicznej zupełnie był poruczony.

Do niej należały również wszelkie fundusze z dóbr pojezuickich pochodzące, a to na utrzymanie nauczycieli i t. d. W tym początkowym utworze tak wielkiej magistratury narodowej, biskup wileński został nominowanym jej prezesem przez króla; wyłącznie jeszcze tenże upoważnionym został do zarządzania wielkimi dochodami z funduszków pojezuickich w Litwie. Kiedy przecież w dwuletnim urzędowaniu takowym, dostrzegła kommissya edukacyjna wielkie nadużycia w niebytności prezesa, postanowiła wysłać wizytatora do Litwy, końcem otrzymania zupełnego raportu o stanie nauk w Litwie, jako

i o szafunku dochodów. Z powszechnego uprzedzenia musiał być wizytatorem szkół koniecznie duchowny, w którym to stanie zbiór wszystkich nauk upatrywano. Ale gdy w obecnym przypadku żaden się z duchownych téj wizyty przeciw biskupowi wymierzonej, podjąć niechciał, nastąpiły wielkie narady w kommissyi, czyby kogo z świeckich do takiej funkcyi przeznaczyć nie można. Odezwał się nakoniec prezydujący książę prymas Poniatowski, do Zamojskiego, iż Wybicki, którego za współpracownika miał do zbioru praw, do tego zdatnym być mu się widzi. Zamojski oddał mi pochlebne zaświadczenie; szło tylko o to, żeby mnie nakłonić do przyjęcia tak ważnego urzędowania, i na kaźden przypadek umieszczono mnie w liczbie członków płatnych do ksiąg elementarnych wyznaczonych; z resztą poruczono Za-

mojskiemu, aby mnie na czas niejaki od pracy uwolnił i do tak ważnej posługi krajowi wezwał. Ztąd wynikło, iż Zamojski, wróciwszy z sesyi izby edukacyjnej, mnie jako wizytatora powitał i rzecz całą objawił. Bez wahania się tak chlubną dla mnie missyą przyjąłem, jeżeli pan Zamojski uwolni mnie od kilkomięsięcznej pracy w praw redakcyi; a gdy się do tego skłonił, doniósł zaraz księciu prymasowi, na sessyą izby edukacyjnej zawiózł, gdzie po najchlubniejszém dla mnie przywitaniu, przez mężów prawdziwie znakomitych, za członka do ksiąg elementarnych przyjęty, i na wizytatora akademii wileńskiej i szkół litewskich nominowany zostałem. Na tak chlubne dla mnie przeznaczenie, niebawnie udałem się z przydanym mi sekretarzem, panem Burakowskim.

Nie będę wchodził w różne szcze-

góły méj missyi, bobym się zanadto oddalił od treści tego dzieła; znajdziecie w składzie pism moich własną mą ręką pisane niektóre projekta; tu tylko wspomnę, iż król, do którego na pożegnanie byłem wprowadzony przez księcia jmei prymasa, brata, bardzo mnie łaskawie przyjął i uczyniwszy niektóre swe uwagi, co się tyczy nauk, zalecił, abym śledził w miasteczku Merecz, między Grodnem a Wilnem, gdzie król Władysław IV. umarł, czyby się nie znajdowały jakie ślady pobytu jego i śmierci w téj mieścinie, w ogromnej puszczy od mego przyjazdu leżącój. Umarł tam ten sławny Władysław roku 1648., który był przeznaczony panować Moskwie i tron jój osieść. Od Grodna, gdzie wizytę mą rozpocząłem, jechałem po większój części puszczą ciemną, a gdy mi się pas u powozu zerwał, przywlokł się wi-

zyciator na drogach do Merecza, gdzie księża Dominikanie uczyli. Jak to miasto było kwitnącém, dość wspomnieć, że w niém szewca, a tém mniej rymarza nie zastałem. Lajek tylko dominikański z rozkazu zapewne przeora, z swojej cholewy pas zerwany od powozu wizytatorowi sporządził. Powróciwszy do Warszawy, odpowiadając króla woli, opisałem mu obraz téj smutnej miejsciny, dodawszy, że śladu niema, gdzieby tam Władysław żył i umarł; domyślają się tylko, że mieszkał w domu blisko Dominikanów, gdzie zastałem żyda arendarza. Dom zresztą drewniany, wybudowany na fundamencie framug murowanych okiennych.

W Mereczu odbywszy wizytę, stanąłem w Wilnie dnia 24. Czerwca 1777. r., gdzie jak wypadło, byłem zaraz u księcia IMCi Massalskiego, biskupa wileńskiego, z daną mi in-

strukcyą od komissyi edukacyjnej, której on był prezesem. Przyjął mnie, jak domyślać się mógłem, zimno, wizyty wszelako nie bronił, którą téż dnia 26. Czerwca rozpocząłem. —

Na mowie mojej publicznej, znajdował się sam książę i wielu panów, także rektor akademii ksiądz Zaba, i sławny professor astronomii, ksiądz Poczobut. Biskup wileński był postaci przyjemnej, charakteru słodkiego, i na nabytych nie schodziło mu naukach; ale, jak zwykle nasze magnaty, nie wchodzący w ścisłą rachubę dochodów i wydatków, zostawał zawsze w potrzebie na zbytki; ztąd nie tak on, jak jego faworyt oficyał ściągał rękę do kassy edukacyjnej na potrzeby domowe. Co tylko przybyłem do Wilna, przychodziły do mnie skargi professorów, emerytów, że ich wyznaczone nie dochodziły pensye, że fundusze edukacyjne na pry-

watne poszły użycia. Jakoż gdy w Grodnie, Mereczu, Wilnie i Kownie troskliwego wizytatora zacząłem pełnić urząd; i nauki opuszczone, szkoły osierociałe i zaległości wielkie w kasie księcia z pobieranych intrat edukacyjnych, znalazłem. Objął to obszerny rapport, który w kommissyi edukacyjnej złożyłem. Szkoły litewskie miały intraty rocznej blisko 600,000 złt. pol. a jak najgorzej były zarządzane, gdyż intraty te były w ręku księcia biskupa. Jakoż wyrachowałem mu, że się blisko 300,000 złt. kasie zadłużył i te wypłacić musiał. A że mi była moc dana, w przypadku nieregularnych rachunków kasowych, kassyera ustanowić, przeto na takowy urząd wezwałem wielce cnotliwą osobę pana Lutomskiego, mego współziomka. Ten mój krok oburzył niezmiernie biskupa; ale mimo doznawanych nieprzyjemności, pełni-

łem moję powinność, z nieugiętą stałością. Pozyskałem w nagrodę ufność i szacunek wszystkich dobrze myślących obywateli i uczonych profesorów, w liczbie których Poczobut astronom, był u mnie w najwyższym poważaniu, i ja od niego byłem szczerze kochany. Tym czasem to gorliwe postępowanie w powinnościach wizytatora, wielce się nie podobalo panu Tyzenhaus, podskarbiemu litewskiemu, który gdyby nie wiedział, żem był wysłany od księcia prymasa Poniatowskiego, byłby mi może przez przyjaźń dla biskupa Massalskiego, jaką wyrządził nieprzyjemność, jak mnie przestrzegano. Ale ja się z tych pogroźek natrząsał, a kończąc wizytę, posłałem mu list od księcia Prymasa, przyłączając razem i mój bilet z wyrazem, iż tak znakomitego ministra życzylbym sobie poznać. Odsłał mi jak najgrzeczniej i prosił, abym

powracając na Grodno, do niego wstąpił, dla dania księciu prymasowi, sprawiedliwego o nim zdania. Żegnając się z moimi przyjaciółmi, i żegnając publiczną mową akademią i szkoły, Biskup wileński tentował jeszcze przez różne osoby zmiękczyć mnie dla siebie, ale tak jak na urzędnika publicznego przystało, odrzuciłem wszelkie ofiary, nic sobie z wszystkich niechęci nie robiąc. Z powrotem do Warszawy, wstąpiłem do podskarbiego Tyzenhaus. Muszę wam choć szczerze jego obraz wystawić.

Byłto prawdziwy minister, jakiego kraj nasz potrzebował; byłto geniusz, którego puszcze litewskie wydały. Widząc on, że szczególnie Litwa bez żadnej rękodzielni i fabryki, że przeprawy i drogi były okropnemi puszciami zakryte, lub bagniskami zalane, że wymiaru gruntów nauka nieznaną była; zgola, że cały niema

kraj miał postać dzikości; postanowił go zmienić, tak jak na wiek cywilizacyi przystało. Odprawił w tym celu różne zagraniczne podróże i wszędzie się uczył, aby krajowi swemu mógł być w przedmiotach administracyjnych użytecznym. Wszędzie, gdzie zdołał, zamawiał rękodzielników wszelkiego rodzaju, fabrykantów i t. d. W takie opatrzone środki, pozyskał całą ufność króla i ogromne dobre stolowe królewskie w Litwie w swoje odebrał possessyą. W tych przeto, jak na wielkim warsztacie, przemysłu swego założył pracownią.

Z wielkiem mojem podziwieniem pokazywał mi ogromne gmachy, które pobudował. Horodnicza na przedmieściu Grodna, gdzie wiele fabryk założył, mogłaby się w Amsterdamie mieścić. Łososna, miejsce w przelicznej dolinie blisko Grodna, gdzie najwięcej rękodzielników miało swe

warsztaty założyć, wystawiła mi obraz prawdziwej cywilizacji. Podskarbi widząc, jak umiałem cenić te wszystkie geniuszu jego plody, woził mnie po folwarkach nowego zakładu, gdzie wszystkich najrzędniejszych krajów rolniczych spostrzegłem zawiązki. Wreszcie, że tu skończę, jeździliśmy drogami pod sznur przez niego wyprowadzonymi, gdzie dawniej zatopy i kręta kolej bronila pośpiechu i bezpieczeństwa podróżnemu; a gdy dzień cały sfatygowani takiemi ekskursyami, wróciliśmy do Grodna, z wyćwiczonych uczniów swej szkoły dramatycznej sceny mi na zabawę wystawił.

Nie jest tu miejsce, abym wszystkie dzieła przemysłu, jakby czarodziejską sztuką, przez podskarbiego wyprowadzone, wyliczał; powiem tylko z żalem, że ziemia nasza nie była jeszcze przysposobioną przyjąć w ni-

rzucone nasienie tyłu ekonomiczno-politycznych korzyści. Takiem to nie-szczęściem, gdy już inne kraje zajaśniały w całym blasku przemysłu i handlu, bogactwy, na naszej ziemi nie się zawiązać, tém mniej dojrzeć mogło. Z jednej strony zazdrość, z drugiej ciemnota, wszelkiej, bądź najużyteczniejszej nowości nieprzyjaciółka, sprzęgły się na dzieło podskarbiego; a gdy dla dróg prostowania i wychędożenia zgniłych, ciemnych puszczy, dotknął się siedziby drugiego, zaczęto na gwałt dzwonić..... Tyzenhaus jest tyran, despota! powszechne rozeszły się głosy, i aż do uszu króla trafiły. Tu w jego obronie jeden tylko stanął książę prymas Poniatowski, bo on tylko jeden z całej rodziny królewskiej posiadał tęgość i stałość charakteru. Za moim powrotem wystawiłem obraz czynów jego w jak najkorzystniejszym świetle,

a jeżeli nawet, powiedziałem, dopuścił się niekiedy jakiego gwałtu, każdy kraj barbarzyński, przeistaczając się w ucywilizowany, tego doświadczyć musi. Jakżeż nie krzyczały bojary na Piotra W. Ileż potwarzy na Richelieu nie rzucił feudalizm? Dodałem nareszcie w raporcie moim publicznym, że jeżeli nauki matematyczne bardziej w Litwie, niżeli w koronie kwitnęły, było to skutkiem usiłowań podskarbiego, który upowszechnił po całym w. księstwie miernictwo, budownictwo i t. d. Tymczasem pod różnemi barwami gwałtów i niesprawiedliwości wystawili królowi ci, którzy zbogacone przez niego i z błota wydobyte dobra stołowe, sobie na połów przeznaczyli. Napróżno ksiązę prymas stawał w obronie podskarbiego, sprzeciwiał mu się szczególnie marszałek nadworny, Rzewuski. Tyzenhauzowi rządy dóbr stołowych

odebrano, w których przez taką zmianę miliony na kulturę łożone przepadły, wszelki przemysł w nich zamilkł, fabryki upadły, wspaniałe gmachy poszły w rozproch.

Taka to, dość powtarzać nie mogę, nieszczęśliwa gwiazda nad naszym zawieszona krajem, żadnemu przemysłowi w nim zawiązać się nie dała; jeżeliby co mojem zdaniem zarzucić było można podskarbiemu Tyzenhaus, to, iż stopniowaniem nie szedł do zarodu i rozkrzewy kultury, iż chciał na puszczech litewskich od razu Holandją kwitnącą widzieć, która wiekami zwolna do swój dojrzałości się wznosiła.

Tak już prześladowanego pożegnawszy podskarbiego, pospieszyłem do Białego-Stoku, gdzie na mnie u pani Krakowskiej, siostry swój, księżę prymas czekał. Korrespondując ciągle zemną z Wilna, bardzo był

kontent, że jego wyborowi odpowiedział, i bardzo mnie łaskawie w Białym-Stoku przyjął. Przeczytałem mu myśli do raportu, który z urzędu wizytatora w kommissyi edukacyjnej złożyć musiałem; pochwalił wszystko i bez samochlubstwa powiem: dziwił się gorliwości i zdatności mojej; gdyby mnie widoki jakie do zysku, lub promocyi wiodły, ten moment przy protekcyi księcia prymasa, wszystkoby mi mógł obiecywać; ale ja zawsze w skromnych granicach co do znaczenia i fortuny zamknięty, nie szukałem szczęścia, tylko w oświeceniu się i usłudze krajowej.

Zostawiwszy księcia prymasa w Białym-Stoku, pospieszyłem do Warszawy; ile, że mój Solon za moim powrotem tęsknił. Oddałem się na nowo całej pracy, w której się zadłużyłem. Dzień i noc przebiega-

łem projekta, które do Zamojskiego podczas mojej niebytności nadeszły. Wkrótce wzięły sessye swój bieg zwyczajny, i praca postępowała.

Tymczasem dowiedziawszy się, iż ksiązę Masalski równie przybył do Warszawy, z narady księcia prymasa odezwać mi się wypadalo, jako do prezesa kommissyi edukacyjnej, aby dzień wyznaczył, w którymbym mógł raport z urzędu wizytatora złożyć. Biskup wileński umyślnie na złożenie raportu mego do Warszawy zjechał; w myśli zapewne, że przytomność jego sprawi na mnie jakie skutki, widokowi jego potrzebne. Ale się pomylił. Przytomność tego, przeciw któremu mówić miałem, zmienić mnie nie mogła.

W raporcie obszernym wystawilem bez zmieszania się czystą prawdę, a w jój wystawieniu najmniejszej obrazy przeciw biskupa osobie nie

dopuściłem się. Plenipotent jego Dydyński i ksiądz oficyał, mieli w moim raporcie pierwszą rolę obwinionych, tak co do zaniedbanych nauk, jako i do kassy edukacyjnej źle użytej. Raport mój trwał dwa dni, który, że czynilem na posiedzeniu kommissyi w zamku, król nieznacznie kazał drzwi uchylić, aby go słyszał. Nauki źle urządzone, lub wcale zaniedbane, dochody tak znacznie roztrwonione, wielce to wszystko zastanowiło króla, jakem się później dowiedział. Raport mój zasłużył sobie na powszechną pochwałę; między innymi książę Sulkowski, wówczas wojewoda gnieźnieński, powiedział: „raport ten powinienby się znajdować na czele naszego archiwum, aby za wzór służył wszystkim wizytatorom i t. d.“

Cierpliwie i z wszelką skromnością słuchał mnie książę Massalski,

a gdy już skończyłem, przemówił z przyciskiem: „trzeba oddać słuszność gorliwości i światłu wizytatora, ale kommissya nie wie, w jaki sposób wynagrodzić jego trudy i prace.“

Chciał mówić dalej, ale ja mu w zapale przerwałem: „nie zna księżę mego charakteru, ani sposobu myślenia; jeżeli do takiej wielkiej sprawy, jaką jest edukacya narodu, mógłbym się, choć w małej tylko części przyłożyć, aż nadto już wynagrodzonym jestem.“ W największym zapale to powiedziałem, bom się domyślił, że mnie księżę chciał zdekoncertować, że nic mi nie dadzą za tę wizytę. Oddaję sekretarzowi papiery i nagle się od stołu oddalam; wszyscy członkowie i sam prezes pomieszali się na takowe moje uniesienie, wszyscy milczeli; jeden tylko księżę Stanisław Poniatowski, którego świeżo z Anglii przybyłego, król

jako synowca w kommissyi edukacyjnej umieścił, ścisnął mnie za rękę. mówiąc: „bardzo się kontentuję z tak pięknych jego zamiarów i sentymentów, i zamawiam sobie przyjaźń jego.“ Jakoż zaraz nazajutrz mnie odwiedził i już ciągle oddawał mi swą całą ufność. Ukochane dzieci! dzień w ten sposób ukończonego mego urzędu wizytatora, był prawdziwie dniem tryumfu dla mnie. Najmilszem jest dotąd mojem wspomnieniem.

Od tego czasu, aż do roku 1780. nie będę wyliczał szczegółowych wypadków, chcąc dójść bez przerwy, do epoki tak ważnej, tak nieszczęśliwej, w której dzieło Andrzeja Zamojskiego swój koniec wzięło. Już wam wspomniałem, jakie gotowały się zaburzenia, na zniszczenie zbioru praw Andrzeja Zamojskiego. Lecz co było najboleśniejsem, zapewne to, że ci wszyscy, którzy się najwięcej

na nasze prawa oburzali, wcale ich nie czytali. Projekt ten do zbioru praw, już prawie w r. 1778. był ukończony, i wydrukowany, ale z woli króla odłożone było podanie jego na sejm roku 1780., na którym spodziewał się król mieć znaczną liczbę światlejszych i krajowi dobrze życzących posłów.

Z takowego układu ja miałem być posłem z Wielkopolski, abym każdego artykułu zaskarzonego na sejmie, mógł tłómaczyć zamiar i pożytek. Opatrzony więc listami króla i księcia prymasa, udałem się najprzód do JW. jenerała wielkopolskiego, Kazimierza Raczyńskiego, największy wpływ w obradach sejmowych mającego, który gdy mnie zapewnił, że wszelkiego z swój strony doloży starania; pojechałem z niektórymi moimi przyjaciółmi na sejmik do Środy. Lecz zaraz po moim przyjeździe, postrze-

gałem na twarzach zapaloną ku mnie niechęć; przechodząc, odbierałem komplementa głośnie: „oto ten Jego-mość, coby chciał chłopów w szlachetę obrócić, a nas w chłopów.“ „Więcej“ odezwał się drugi: „onby chciał nasze córki w chłopianki obrócić.“ Te i tym podobne głosy, ich, a nie mnie hańbiące, po wszystkich stronach dały się słyszeć. Zacząłem się wahać, czy się pokazać na sejmiku, dostrzegłszy takie zajadle przeciw mnie umysły; w tém bardzo rano przed rozpoczęciem sejmiku, odbieram przez przyjaciela mego bilet, od JW. Raczyńskiego, w którym po najszczerzych oświadczeniach wyraził, iż nie jest w mocy ludzkiej uprzedzone przeciw dziełu Zamojskiego umiarkować umysły, i że wszystkie jego starania, dla utrzymania mnie posłem, były nadaremne, że lęka się

o moje życie, i do kościoła wchodzić nawet nie radzi!

Sprawdzili to moi przyjaciele, którzy zasadzonych kilku opojów w dzwonnicy znaleźli, co na moje czyhali życie; nie pozostawało mi więc nic, jak tylko to miejsce politycznego rozboju opuścić, abym i siebie ochronił, i nowego rodzaju hańby krajowi oszczędził. Napisawszy więc bilet do Raczyńskiego, iż na sejmiku znajdować się nie będę, wyjechałem. Powiadano mi, iż Raczyński po zagajeniu sejmiku, miał żale wynurzyć, iż uprzedzenie nie przypuściło mnie do kandydatów na posła i t. d.

W gronie kilku świątłych przyjaciół wyjeżdżając ze Środy, rozważyliśmy tego odwiecznego ducha swawoli i anarchii w Polsce, którego do wieku XVIII. dochowawszy, zaguby swojej politycznej blizki zgotowaliśmy sobie koniec. Powiadano mi później, iż to jeden

z kasztelanów wielkopolskich był na czele tych ustawionych na mnie siepaczy. Wymienić go? należał on do najpierwszych familii wielkopolskich; lecz go zamilczę, albowiem wspomnienie jego miałoby cechę zemsty, a ja piszę: „sine ira et odio.“

Powróciwszy wkrótce do Warszawy, już Andrzeja Zamojskiego w niej nie zastałem. Ten szanowny mąż, widząc intrygami i uprzedzeniami zajęte umysły, pił spokojnie kielich gorczy i składając w ręce królowi swe dzieło, przemówił: „Składam w ręce WKMości pracę moję, do której mnie wezwać raczyłeś. Sejm ma zupełną władzę przyjąć ją, albo odrzucić; moje myśli były czyste.“ Przystępem pożegnał króla i odjechał; do mnie łaskawy zostawiwszy bilet, który się zaczynał: „Curavimus Babiloniam.“ W bilecie wyraził to, co do króla przemówił; wreszcie prze-

kładał mi, abym w każdym przypadku był spokojny; nakońcu dodał: że aby mu pamięć moja zawsze była przytomną, zabiera z sobą mego siostrzeńca Owidzkiego.

Powszechnie już wiedziano w Warszawie, że mnie poselstwo nie doszło. Król na to zdał się być zasmuconym i po różnych zemną rozmowach powiedział: „to na sesjach prowincyalnych dokażę, że wacpanu będzie dana wolność znajdowania się przy marszałku i stawania w obronie praw Zamojskiego.“ Projekt ten szczególnie popierali: książę prymas i książę Stanisław Poniatowski, ale na próżno. Tak była intryga wypracowana, że wspomnieć nawet Zamojskiego nie było wolno. Tego rodzaju niesprawiedliwość i nieczulość na swój własny interes, w żadnym kraju nie była doświadczoną! sprzeciwiało się to wszystko

zdrowym zmysłem, ale spieszę do końca téj smutnéj sceny.

Skoro się na sejm zjeżdżać zaczęto w roku 1780., starałem się każdemu z sejmujących przesłać drukowany projekt zbioru praw, na którego druk Zamojski wszelkie koszta poniósł. Marszałkiem tego sejmu był Antoni Małachowski, sekretarz koronny. On był osobistym przyjacielem Zamojskiego; ale skoro wyszedł od laski projekt jego pracy, wszczęła się wrzawa, jak gdyby jaki okropny potwór zjawił się w izbie; wołano: nie ma zgody! wreszcie rzucono projekt, niby to w wściekłości o ziemię, do czego, zdaje mi się, dał pierwszy przykład poznański poseł Sokolnicki. — Napróżno król i marszałek wzywał do porządku, napróżno król z zwykłą sobie wymową przemawiał, iż, nieznając dzieła, jakoż je potępiać! Nakoniec książę Stanisław Poniatowski,

otrzymawszy głos w téj wrzawie, mówił mocno i długo za projektem. Nie dano mu skończyć. Powstał głos i krzyk: „niema, niema zgody! uchylamy na zawsze ten projekt i t. d. jakoż w tym duchu zapadła konstytucya, jak ją tu przyłączam! Na to wszystko z boku patrząc, rozczuliłem się nie nad losem Zamojskiego, ale nad losem nieszczęśliwego kraju, który z odwiecznej anarchii wyjść nie chciał.

Ponieważ może nie będziecie mieli pod ręką tych dwóch konstytucyj, pierwszej, co upoważniła Zamojskiego do téj pracy, drugiej, co ją uchylila; przeto wam tu obiedwie dołączam.



Sejm z roku 1776. pod konfederacją a marszałkiem Andrzejem Mokronowskim.

Zbiór praw sądowych.

Doznawając szkodliwości wynikających z wielości, ciemnoty, wzajemnych przeciwności, różnych niedokładności praw, służących lub służyć mogących za prawidła processów jurysdycznych *omnis generis* w ojczyźnie naszej; postanowiliśmy wziąć przed się sposób najpewniejszy do uchylenia takowych szkodliwości. A na ten koniec za zgodą wszech stanów wybraliśmy urodzonego Andrzeja Zamojskiego, jako mającego cnotę i przynioty, do tego dzieła sposobnym go czyniące, i jemu zleciliśmy uformować *codicem juridicum*, powszechnie w całej ojczyźnie naszej za regułę służyć mający, żądając po nim, ażeby sprawiedliwość naturalną biorąc za-

wsze *pro primo obiecto*, nie przywiązywał się indessitenter do żadnej z dawnych legislatur, ale, żeby zważając naturę okoliczności, w których się naród nasz znajduje, i obyczaje onego, to wszystko *in in formando novo codice*, z dawnych praw zachował, cokolwiek zamierzonemu przez nas ulepszeniu sprawiedliwości nie znajdzie przeciwném. To zaś wszystko, żeby odmienił, przez co obywatele i sędziowie w wątpliwości o powinnościach swoich zostawać mogą. Tuzdzież, żeby odmienił to wszystko, co procedera prawne *in infinitum* trwającami, lub bardzo długimi lub częstymi czynić może. Jako zaś niewątpimy, że tenże urodzony Andrzej Zamojski do pomocy téj pod rządem swoim pracy, weźmie najoświecniejszych i najcnotliwszych obywatelów obojga narodów (w czém na jego wybór zupełnie się spuszczamy); zą-

damy, aby tenże urodzony Andrzej Zamojski to dzieło na termin ordynaryjnego, za lat dwa przypadając mającego sejmu wygotował, i one w druku zebrane nam i stanom rzeczpospolitej naówczas sejmującym przelożył, którą to pracę jego według upodobania swego na ów czas, czyli *in toto* akceptowawszy, czyli w nim poprawy uczyniwszy, w prawo obrócić też stany rzpltej. Ekspens zaś, którego robota tego dzieła wyciąga, dla zażywanych do niego subalternów, papier, kwerendy i inne drobne wydatki, jako też i wydrukowanie onego, za pokazaniem rachunku onego na przyszłym sejmie bonifikowane będą ze skarbów obojga narodów.



Sejm r. 1780. pod marszałkiem
Antonim Małachowskim
sekretarzem w. k.

Uchylenie zbioru praw przez W. Andrzeja Zamojskiego ułożonych.

Za podjęte prace około zbioru praw i ułożenie w trzech tomach do approbowania onych projektu, ur. Andrzejowi Zamojskiemu, ordynatowi exkanclerzowi w. kor. powinna upewniamy wdzięczność. Ze zaś w takowym zbiorze nie znajdujemy dogodzenia zamiarom naszym na sejmie roku 1776. wyrażonym, tenże zbiór praw wyż wspomniony na zawsze uchylamy i na żadnym sejmie, aby nie był wskrzeszany, mieć chcemy.



ROZDZIAŁ VII.



Insurrekcyja w roku 1794.

Upokorzony naród drugim podziałem Polski, szukał już tylko męża, któryby mógł przewodniczyć w tak wielkiej i świętej sprawie. Na Tadeusza Kościuszkę padł wybor wszystkich. Jenerał ten, który pod chorągwiami nieśmiertelnego Wassyngtona walczył za obcą wolność, gdy za swoje już prawie ginąć nie mógł, miał powszechne w narodzie przy-

wiązanie i ufność. Na niego się więc wszystkich oczy zwróciły, aby w tak ważnej sprawie naczelnikiem, a raczej dyktatorem został obrany. Ignacy Potocki, marszałek w. lit., i ksiądz Hugo Kołłątaj, podkanclerzy koronny, którzy przed prześladowaniem za granicę się schronili i w Dreźnie pod opieką rządu nam przyjaznego osiedli, mieli powszechny w kraju szacunek przez swe obywatelstwo i obszernie światło, które szczególnie na sejmie konstytucyjnym okazali; im więc miały być poruczone interesa cywilne, pod wszechwładnym naczelnictwem Kościuszki. Jakoż od nich wychodziły pierwsze myśli i nadzieje obrony ojczyzny. Znosili się w kraju i za granicą z dobrze myślącymi, wysyłali w różne strony cnotą i światłem znakomitych, aby wyrozumiewać i zagrzewać ducha. Duch znalazł się wszędzie jeden! Zaczął go nie-

przyjaciel, który dawniej nim pogardzał, jawniej poznawać i obawiać się. Kazał więc szczątki wojsk zwijać, i już na wzięcie arsenału w Warszawie ciche wydał rozkazy. Te gwałtowne kroki i zamysły Igielsztröma, posła rossyjskiego, roznosiły po kraju trwogę, lękać się nawet zaczęto, czy zamysły patryotów nie są już odkryte. Lubo więc jeszcze nie były dojrzały okoliczności do rozpoczęcia dzieła rewolucyi; szlachetna atoli rozpacz, walecznością wsparta, nie dała się uspić bojaźliwej roztropności rachubie. Powszechne rozeszło się hasło do powstania. Kraków stał się jego stolicą. Tam wezwany stanął Kościuszkó, tam to dzieło zawiązane zostało. Pióru historyka jego opis zostawiam, ja tylko wspomnę, na co patrzałem i jak zaraz na początku do obrony powszechnój wszedłem.

Jeszcze powstanie krakowskie nie było wiadome, gdy generał Madaliński nie chcąc pozwolić zwinąć wojska, którym dowodził, porwał się do oręża, hasło do boju wydał i przez liczne rosyjskie i pruskie zastępy do Krakowa przerznął się. Wkrótce po takim generała Madalińskiego ruchu, ciche po Warszawie zaczęły się rozchodzić szept, że już Kościuszko stanął w Krakowie, że już 24. Marca, akt powstania narodowego, dokonany został. Dzień ten wielki, do najpóźniejszych przechodzić będzie czasów i pokoleń; w nim jak niegdyś w Rzymie Kościuszko do bronienia całości i swobód narodu, powołany został.

Co do mnie, już do wszystkiego przygotowany byłem, i gdy się z wysłanym z Drezna generałem Zajączkiem w Trębaczewie, u pani Kochanowskiej zobaczył, sprawą ojczyzny

cały zajęty zostałem. Przejęty bojaźnią z doświadczenia konfederacyi barskiej, mawiałem do sławnego prezydenta Warszawy, Zakrzewskiego, obywatela całkiem ojczyźnie oddanego, i do generała Zajączka, na naszych potajemnych obradach, iż mamy projekt do rewolucyi, ale gdzieś środki do jęj utrzymania? ztémwyszystkiem, gdy już nie nadto, cośmy utracili, do utracenia nie mamy, puśćmy się w zawody szlachetnej rozpaczey, oddajmy się nieprzyjaznym losom. Zginieć — to przynajmniej nie przeżyję oyczyzny! Tak myśleliśmy wszyscy, co nas jeden duch wiązał, pod bokiem posła rossyjskiego, otoczonego kilku tysiącami bitnego wojska, wpośród wielu Rossyi zaprzędanych Polaków. Król przerażony przykładem Ludwika XVI., nie ufając narodowi, także miał swych szpiegów. Pomimo tego wszystkie-

go, było nas sto osób do tajemnych układów, względem powstania narodowego należących. Miewaliśmy częste schadzki, a przecież dziwném zdarzeniem w tak liczném i tak różnego rodzaju zgromadzeniu, tajemnica nie została odkryta. Z miasta najbardziej przewodził ludowi Kiliński, szewc z professyi i inni różnych cechów obywatele. Szczególnie celował między ludem miejskim, patron Wolfers, człek pełen talentów. Na czele przecież wszystkich działań w Warszawie był sławny prezydent miasta, Zakrzewski, który po przyjęciu praw miejskich na mocy sejmu konstytucyjnego, bez nadwężenia ślachectwa, urząd ten piastował i order polski od króla otrzymał. Wojskowi niemal wszyscy byli za sprawą ojczyzny; ci, którym powierzony był sekret, dochowali go święcie i mężnie przy rozpoczęciu dzieła sta-

neńi. Nie do mnie należy wyliczać ich wszystkich, wspomnę tylko szanownego pólkownika Erazma Myciel-skiego, z rejmentu Działyńskiego, którego szczególna przyjaźń i jeden duch ze mną łączył. Ten młody wojownik, spełnił dojrzałego patryoty i walecznego żołnierza powinność.

Na jakże wiele sprężyn dzielnie w téj chlubnej epoce działających wieczna padnie ciemność!

W takim usposobieniu umysłów, jak tylko powstanie krakowskie głośnem się stało w stolicy, pomieszania powszechnego na twarzach wszystkich wydały się rysy. Blednął Ros-nyanin i jemu zaprzędany Polak, blednął i z nas każdy z niecierpliwości dokonania zamiaru, który już nam się zdawał odkrytym, a przeto zniszczonym. Ale szczęściem dla nas poseł cesarzowej, Igielsztröm, nadęty potęgą swéj pani, pojąć naprzód nie

mógł, aby Polak miał dość odwagi, zerwać kajdany i przeciw tak wielkiej monarchini broń podnieść; wreszcie spoczywający na zapewnieniu słabego Stanisława Augusta, i topiąc swe niespokojności w obficie używanych trunkach, lub na łonie rozwiozłości, nam w cichości układać i dopełniać świętobliwie zamiary pozwolił. Moje położenie było krytyczniejsze, jak innych. Będąc jak wyżej wspomniałem, kommissarzem bankowym, miałem w mym departamencie masę Tepera, który znaczne miliony był winien Rossyi. Igielsztröm dowiedziawszy się, iż do miliona blisko miałem zebranych kapitałów z téj massy, podał notę kommissyi, rozkazującą w tonie despoty, ażeby ta suma była mu wydana na dług cesarzewej. Stałem na sessyi w opozycji, przedstawiając, iż już na sejmie grodzieńskim poseł Siwers kapitałem

cesarzowej winnym, zapewnił opłatę na najpewniejszych funduszach Tepera u księcia Radziwilla będących. Moja opozycya wstrzymała żadaną rezolucyą posła i przedstawienie moje na piśmie komunikowane mu zostało. Ta Jakobina z méj strony krnąbrność (jak ją nazywał poseł), rozjątrzyła jego umysł, który nie był przyuczony znajdować odpór w podanych rządowi polskiemu żądaniach. Pan marszałek nadworny Raczyński, a prezes kommissyi w tym stanie rzeczy zachorował, cała kommissya zamilkła i mnie się osobiście tłumaczyć ambassadorowi zaleciła. Niecierpliwy, aby mnie widzieć, przysłał do mnie pazia swego, Gołuchowskiego, dnia 15go Kwietnia, abym się do niego stawil. Struchlala na to moja familia, będąc pod ów czas zemną w Warszawie; ja z méj strony bylem prawie pewny kibitki, na Syberyą; szedlem

jednak do niego z spokojnym umysłem. Znalazłem dom jego cały i przedpokoje obsadzone wartami, które mnie po ścisłem zameldowaniu do oblicza Igielsztröma przypuścily. Z pierwszego rzutu oka, zaraz w tonie despoty odezwał się do mnie, czy to ja jestem, który nie chciałem wydać kapitałów zebranych z masy Tepera, na dług W. Katarzyny. Odpowiedziałem w tonie wolnego człowieka śmiało, iż ja byłem stróżem masy długów teporowskich, bo mnie do tego przeznaczono, i że nie jestem tak ciemny, abym dług najjaśniejszej imperatorowej zaprzeczał, który się jej z masy Tepera należy; jeżeli zaś przedstawiłem kommissyi, że summy teraz zebrane, wpłynąć do skarbu cesarzowej nie mogą, to na fundamencie układów j. w. Siwersa, posła, z wierzycielami Teperowskimi, w Grodnie uczynionych. Wrza-

snął na to: co to za układy? odpowiedziałem przekazanie długów Tepera, na skarb najjaśniejszej imperatorowej u księcia Radziwilla. Nie dał mi skończyć, rzucił się jak wściekły, krzycząc: iż wie, kto ja jestem, że jestem pierwszy rewolucjonista, iż śmiem się opierać żądaniom imperatorowej i t. d. Zapal, w którym mówił, nie dał mi go rozumieć; rozumiałem tylko, gdy kończąc, powtarzał, że mnie z komisji wyrzuci i sprawiedliwość sobie zemną wymierzy. Wypadało mi dla dobra biednych wierzycieli Tepera, i pokoju méj familii; wreście dla dobra kraju, któremu chciałem służyć, znieść furię i gdyby można, uwieść tego polityka. W przybranéj zatém odpowiedziałem mu pokorze, aby mi dwa dni przynajmniej zostawił czasu, do rozmówienia się w téj mierze z kuratorami massy Teperowskiej,

że ich może skłonię do oddania zebranych kapitałów j. w. ambassadorowi. Udobruchał się na to zapalenie i mnie wolnego do domu puścił; bo nie wiedział, że za dwa dni, to jest, 18go Kwietnia, wybuchnąć miała rewolucya w Warszawie. Oswobodzony w ten sposób, z podziwieniem wszystkich, czempredzėj zwołałem kuratorów massy i niektórych wierzycieli, i przelożywszy zagrożenie ambassadora, podałem projekt podzielenia kapitału, pomiędzy najpotrzebniejszych wierzycieli Tepera, a którzyby sekretu nie wydali. Pracowałem noc całą nad tym rozkładem i stósownie do niego potajemnie wezwani wierzyciele zostali dnia 16go Kwietnia wypłaceni, tak, iż ani grosz w kassie nie został. Byłto jeden z najszcześliwszych momentów w mojem życiu, gdym ich widział rozczulonych z wdzięczności; ofiarowali mi

kuratorowie 20,000 zł. pol. za tę opiekę, ale mnie tém obrazili. Spieszyłem się z rozdzieleniem tych pieniędzy, nie dla samego zagrożenia ambassadora, przewidywałem bowiem zamieszanie towarzyszące każdéj rewolucyi; czas sprawdził moje domysły, bo inne massy, np.: Szulea, Kobrego i t. d., poszły na łup i grabież gminu rewolucyi.

Dnia 16go Kwietnia, kommissarz poselstwa rossyjskiego, Józefowicz, kommissarz także bankowy, zemuą kolegujący, dorozumiał się mego obrotu, zaczął konfidencyonalnie mnie badać i okropną zemstą ambassadora zagrażać. Odpowiedziałem: iż dnia 17go t. m., sam się z ambassadorem rozmówię. Tu poznałem, jak jeszcze niewiadome były całej ambassadzie nasze tajemne układy. Lecz taki zwykle czyniła Katarzyna wybór z swych posłów bez serca i głowy.

Dał tego dowód Igielsztröm, gdy go w łóżku nowina doszła o wybuchniętą rewolucyi.

O godzinie 4tėj zrana dnia 17. Kwietnia powstała w Warszawie insurrekcyja. Nie miała ona charakteru ani niesporów sycylijskich, ani rzezi świętego Bartłomieja, gdzie uknuta napaść śpiącym i zupełnie bezbronnym odbierała życie. Wystrzał armat, dzwony i bębny budziły nieprzyjaciela, aby wstawał do otwartego boju z wolnym Polakiem, którego w kajdany okuwał. Było wojska rossyjskiego przeszło 6000, polskiego garnizonu ledwo 2000. Godzin trzydzieści i sześć trwała krwawa walka; rynki, ulice i domy były placem boju. Wszędzie Polak był zwycięzcą, tak iż 18go zbierając laury, wykrzyknął swą wolność i sypał najeźdźników mogiły. Wystawiać będą dzieje tę bohaterską walkę, którój

generał Mokronowski przewodził. Dnia 19. ogłoszony został w Warszawie akt powstania, łącząc się z powstaniem krakowskiem i uznając za naczelnika Kościuszkę. Tymczasem, żeby bez rządu kraj nie został, zebrani obywatele na ratuszu uznali potrzebę rady tymczasowej, czyli rady zastępczej, do której i ja jedynym razem jako radzca wybrany zostałem. Odtąd mieszkaniem mojem dziennym i nocnym został ratusz, gdzie wspólnie z JW. Zakrzewskim, prezesem, i Michałem Wolferssem, radzcą, wszelkie organizacye układaliśmy i pisma publiczne, które okoliczności ogłaszać radziły, z pod naszego wychodziły pióra. Wkrótce rada zastępcza podzieliła się na cztery departamenta; ja wszedłem do wojskowego, pod prezesostwem szanownego generała Mokronowskiego. Gorliwość i pracowitość zastępowały u mnie miejsce

talentów wojskowych. Najważniejszą usługę, którą w tém urzędowaniu przyniosłem krajowi, było ocalenie brygadiera Dąbrowskiego, później tak sławnego generała. Trzeba wiedzieć, iż sejm konstytucyjny, chcąc podźwignąć naród, czułość talentów wojskowych w kraju, starał się ściągnąć z zagranicy rodaków, w obcej służbie zostających. — Z téj liczby był Dąbrowski, który w wojsku saskim w gwardyi królewskiej wielce się dystyngwował, a talenta jego wzbudziły, jak zwykle, zazdrość, a subordynacya, którą wprowadził, narobiła mu nienawiści. Madaliński, pod którego był komendą, nazywał go niemcem, a gdy rewolucya była ułożona, o niej Dąbrowskiemu nie powiedział i wymaszerowawszy na rozpoczęcie insurrekcyi, jak się wyżej powiedziało, Dąbrowskiego zostawił w garnizonie i w niespokojności, i

w złej opinii. Ale Dąbrowski umiał sobie poradzić w tém. Uwiadomiony o powstaniu krakowskiém i o rewolucyi warszawskiej, ruszył z szczątkiem żołnierza śledzić nieprzyjaciela powszechnego, i 21. kwietnia zabrał Rossyanom pod Tykocinem sześć wozów z bagażami, 1 oficera i 25 żołnierzy, ale o tém nie meldował Starzyńskiemu, staroście brańskiemu, który chciał przewodzić w Podlaskiem. Z tego powodu nie wiem, jak mu się dał zabrać Dąbrowski, którego on do rady oskarżył, jako nieprzyjawnego powstaniu, a oficerów Duczyńskiego i Więckowskiego prawie nieledwo w łańcuszkach przyprowadził. Ta scena gorsząca przez jakąś nienawiść Starzyńskiego wymyślona, stała się 30. kwietnia. Dąbrowski oddany został pod sąd departamentu wojskowego. Lud uprzedzony otaczał go z nienawiścią, jak zwykle

w rewolucyi, do której gmin ciemny się miesza, dość, aby jeden zaślepiony krzyknął: zdrada! już tłuszcza wyrok śmierci pisze. Skoro Dąbrowski stanął w naszym departamencie, przemówiłem śmiało do tłumu, że, chcąc pokonać nieprzyjaciela, trzeba nam szanować wojskowych, że na jednostronne zaskarzenie nie można oficera z talentami i charakterem potępiać. Niech pan Starzyński złoży skargi dowody, a jutro wyda departament wyrok sprawiedliwy. Spoglądał na mnie z podziwieniem Dąbrowski, bośmy się jeszcze nie znali; a iż Mokronowski zalecił mu, aby się na dzień jutrzejszy w departamencie stawił; całą noc zaprzątnąłem się szczerze tą sprawą i znalazłszy ją jak najlepszą na stronę Dąbrowskiego, wygotowałem rezolucyą, która go niewinnym i wielce użytecznym do służby krajowej ogłosiła.

Stanęli do słuchania wyroku Starzeński i Dąbrowski, i gmin, co go otaczał. Z powagą i godnością ogłosiłem zdanie departamentu wojskowego, ocalając honor i obywatelstwo Dąbrowskiemu. Zamilkł Starzeński i gmin uwiedziony, o niewinności przekonał się oskarżonego. Tak szczęśliwém zdarzeniem przyłożyłem się do uratowania męża, który tylu pomyślności dla sławy i dobra kraju stał się z czasem początkiem i któremu już w téj rewolucyi chlubne dzieła przyzna historia.

Tu wracając do rzeczy, wyznać muszę, iż dni pierwsze naszego powstania były dniami chluby i sławy. Ale dni tak świetne wkrótce czarny miał okryć pomrok. W każdym dziele, do którego tłuszcza ciemna wchodzi, zawieszuje się zaraz w jego poczęciu burzliwych zamieszkań, łupiestw i okrucieństw brzemie. Pierwszy śmiały

intrygant, uwiodłszy ciemne pospólstwo, przeistacza dzieło narodowe w dzieło swych namiętności i prywatnych korzyści, a postępuje do swoich zamiarów drogą zaburzeń i śmierci! kto u nas był naczelnikiem tych dzieł sromotnych i krwawych, sumiennie powiedzieć nie mogę; ale to pewna, że pierwszym ohydłym utajonym tego herszta narzędziem był niejaki Konopka, człek młody, podobno rodem z Poznania, wreszcie bez znaczenia, kopista w kancellaryi ks. Kołłątaja, podkanclerza koronnego. Ten, skoro się zawiązała rewolucya w Warszawie, z natchnienia zapewne jakiego Robespiera, stanął na czele pijanego gminu, zachęcał, podburzał do mordów, łupiestw i anarchii. Dzień dziewiąty Maja był dniem dla nas skazy. Dzień ósmy już był czarną jego wróżbą; rzucono bowiem w nim fałszywą trwogę o zbli-

zeniu napowrót Rossyan i Prussaków pod Warszawę, którym na rzeź miał rząd przeznaczyć pospólstwo. Do tego przyczyniło się jeszcze, że król wyjechał przypadkiem na spacer za Pragę. Konopka ze swymi sprzymierzyńcami rozpajał lud po szynkowniach i krzyczał na gwałt: że król ucieka z Warszawy! Zaczęto się kupić i uzbrajać, a raczej wściekać i krwi łaknąć; ja się przytém znalazłem w największém niebezpieczeństwie życia. Właśnie byłem tego dnia na Pradze uzbrajać to przedmieście, będąc, jak wspomniałem, w departamencie wojskowym. Przestrzeżony poruszeniem Warszawy, że król jegomość wyjechał za Pragę, posłałem za nim mego kolegę Ciemniewskiego z proźbą, aby się wrócił do uspokojenia ludu. Kolega mój zastał już wracającego króla do zamku. Myślałem, że się tém zburzone po-

spółstwo uśmierzy; i ukończywszy moją pracę, wracam do miasta; ale zastałem zapchaną całą ulicę od mostu tłumem opilców w różną broń opatrzonych. Ten z karabinem, ów z pistoletem, inny z dobytym pałaszem, otaczają mnie spienieni, krzycząc, iż rada lud zdradza, iż Rosyianie i Prusacy są już pod rogatkami wolskimi... Stałem śmiało, zacząłem im wyrzucać, jak są łatwowierni, że ich do rogatek poprowadzę i dowiodę, iż rzeczony postrach jest dziełem ducha, starającego się ich burzyć i wojnę domową sprowadzić. Trafiła do ich przekonania ta moja przemowa, i nawet niektórzy z nich zaczęli wołać: Wierzmy mu, on nas nie zdradzi! Ale gdy w takiej eskorcie stanąłem na krakowskiem przedmieściu nie daleko Zygmunta, wrzasnął ktoś mi nieprzyjazny: Wybicki chciał króla wyprowa-

dzić! wszczął się tumult i mnóstwo co nawet zapewne i nazwiska mego nie znało, rozniosło echo: Wybicki jest zdrajca!

Ten moment dał mi już gwałtownie poznać, co to jest gmin, w którego massie ów głęboko myślący Rousseau złożył moc najwyższą rządową. Z pogardą patrzałem na moich panów, a niechcąc być ich pastwą, jak wściekłego zwierza, zsiadłem z konia i zdiąwszy z lewój ręki krepę ponsową, którą radcy dla dystynkcyi nosili, starałem się przedrzeć do pałacu pani Krakowskiej, gdzie jenerał Mokronowski mieszkał. Lecz słyszę szum nowój na mnie burzy. Wrzeszczą: Wybicki był dziś z powinszowaniem u króla! W rzeczy samój Kościuszko, chcąc zabezpieczyć osobę króla, aby jak Ludwik XVI. nie padł ofiarą, zalecił radzie zastępczój wszelkie dla niego usza-

nowanie; ztąd wypadło, aby w dzień św. Stanisława, jako w dzień jego imienin, zwyczajne mu złożyć powin-szowanie. Gdy mnie więc rada do tego komplementu wybrała, wysta-wiałem jój, że mnie w oczach ludu już rozchukanego, na kryminalistę wystawia. Nie mogąc się przecież wymówić, żądałem, aby mi kolegę dano ze stanu miejskiego. Przydano mi Wolfersa. Król dowiedziawszy się, iż jakaś delegacya od rady do niego została wysłaną, począł się trwożyć, tak, że całą familią zastałem przy nim zgromadzoną w gabinecie. Po-wiedziałem do niego między innemi oświadczeniami następujące słowa: Odbierałeś, królu! w dzień twego święta zwykle od Polaków powin-szowania, ale pozwól powiedzieć, iż dziś po raz pierwszy idą te życze-nia z ust wolnego Polaka i t. d. Taka była historia bytności mojej u

króla, ale gmin, co ani myśli, ani rozumie, tylko za pierwszym popędem swych namiętności idzie, gmin, co Arystyda i Sokratesa na śmierć osądził, gmin, co od wszystkich wieków i we wszystkich krajach jest sobie podobien; mnieby był może najniewinniejszego na haniebną śmierć wskazał i samby był moim katem, gdybym się przecie do domu generała Mokronowskiego nie był przedarł. Mąż ten szanowny cały w rozpacz, na mój widok westchnął i wyrzekł: Oto pierwsza scena krwawej rewolucyi francuzkiej. W pierwszym zapale chciał kupy rozpędzić. Kazał szukać do rady prezydenta Zakrzewskiego, ale go nie znaleziono. Tym czasem oficerowie najlepiej myślący przekładać zaczęli prezydentowi, że w tym razie za subordynacją żołnierza ręczyć nie mogą, którego konspiracytory starali się nakłonić do swój

sprawy przekupstwem, pijaństwem i fałszywymi widokami wolności. Zostawilem generała z oficerami naradzającego się, a sam pokryjomu dostałem się do prezydenta Zakrzewskiego. Był to jeden z najnotliwszych ludzi i najgorliwszych obywateli; ale nie był do steru łodzi w gwałtownej burzy. Skoro mnie spostrzegł, zawołał: Nic mi nie powiadaj, wiem wszystko, lękam się, żeby nie było gorzej. Zaradzić więc temu trzeba, odpowiadam. Prezydent załamywał tylko ręce. Odszedłem go nieukontentowany i ledwo zaszedłem na rynek starego miasta, na przeciw ratusza, do mojej stancyi, bo tam się z pałacu Zamojskiego przeniosłem, a żona z dziećmi była w zamku u pani generałowej Gorzeńskiej. Zastąpiłem u siebie niektórych kolegów troskliwych o mnie, z którymi zarówno bolałem na tak zły początek naszego

dziela. Nikt z nas przecie nie przewidywał okropnej sceny, którą nam dzień dziewiąty Maja miał objawić. Aż tu przy wschodzie słońca zobaczyliśmy na rynku trzy wystawione szubienice, z których jedna w samych drzwiach ratusza, gdzieśmy na obrady wchodzili, wystawioną była; czwartą wkopano pod kościołem Bernardynów na krakowskiem przedmieściu. Ledwom to spostrzegł, odebrałem list od prezydenta, aby się nagle zgromadzić na radę. Wielu nie przybyło; przytomni uradziliśmy, aby wezwać pomocy wojskowej i szubienice obalić, jako bez woli, a raczej z pogardą rządu wystawione. Lecz gdy nad tém spieramy się, już kilka tysięcy gminu uzbrojonego cały zamek zaległo, już przychodzą rapporta, że całe miasto w poruszeniu, wkrótce, że aresztowanych hetmana Ożarowskiego, Ankwicza, prezesa rady nieusta-

jącój, i ks. Kossakowskiego, biskupa inflantskiego, gmin na ratusz prowadzi. Konopka, trybunę sobie zrobiwszy z okseftu na przeciw ratusza, do odurzonego ludu ziewa mordy i pożogi. Ojczyzna, krzyczy zapieniony, chce kary na swych zdrajców i t. d.; w tém i on i druga poczwarra, niejaki ks. Majer, z podobnymi sobie, z golemi pałaszami, nabitemi pistolety szturmują drzwi do naszój izby, którą gdy przymuszeni byliśmy otworzyć, jak wylew jaki śpioniony nas zatopił. Powiem bez chluby, iż ja i szanowny Wolfers (co mu później śmierć przyniosło) stanęliśmy z odwagą naprzeciw tłokowi. Wystawiliśmy wzgardzoną powagę rządu, który sam lud wybrał; powiedzieliśmy: że my chyba pierwsi padniemy ofiarą, niż na bezprawne zabójstwo kogożkolwiek pozwolimy. Powstała nareszcie cała rada, iż

przyrowadzeni aresztanci mogą być śmierci godni, ale należy, aby ich sąd kryminalny sądził i na nią, jeżeli zasłużyli, skazał. Niepojęta wzniosła się wrzawa: Ożarowski, Ankwicz, Kosakowski są zdrajcami, trzeba ich wieszać! i t. d. Rząd nie odpowiada ufności ludu! My na to: a więc składamy urząd, ale dopóki na nim będziemy; nie dopuścim tego krwiożerczego barbarzyństwa i t. d. Któż tę scenę opisze! Zadziwione herszty naszą rezolucją, pozwolili na sąd. W momencie na przeciw naszej izby sąd kryminalny się zgromadził i aresztowanych na śmierć skazał.

Tak utrzymaliśmy przynajmniej powagę naszą. Byli oni, jako przekonani o zdradę ojczyzny, śmierci godni; ale chodziło o to, aby sąd ten wyrok wydał. Zakończyła się ta pierwsza krwawa scena z ocaloną nieco powagą rządu; przeglądali-

śmy przecie, że nie ukończyła się wściekłość partyi, gmin burzyć w zamiarze mającej, i że wkrótce najpiękniej zaczęta rewolucya nasza, w zamiarze najświętszym zawiązana, wzięmie postać barbarzyńskiej rzezi i nadludzkiej zgrozy, jaką się shańbiła rewolucya francuzka, gdy z rąk czysto obywatelskich do drapieżnych przeszła demagogów.

Jenerał Mokronowski wybierał się do obozu, powiedziawszy w radzie, że woli raczej ginąć z orężem w ręku od nieprzyjaciela, niż czekać haniebną śmierci w Warszawie. Żądał bez tego Kościuszko, aby Mokronowski wyruszył w pole; a gdy i ja toż samo oświadczyłem, co Mokronowski, odezwał się tenże, aby mu rada raczyła mnie przydać za pełnomocnika rządowego w obozie. Po wielu trudnościach, szczególnie ze strony prezesa, odebrałem pełnomocnictwo



żądane i już odtąd aż do końca re-
wolucyi znany byłem pod nazwiskiem
pełnomocnika rządowego. Ukończy-
wszy uporządkowanie cyrkulów i t d.,
wyjechałem z jener. Mokronowskim.



ROZDZIAŁ VIII.



*Autor do obozu się przeno-
nosi.*

Z takich wypadków nową zacząłem kolej życia. Urzędnik cywilno-wojskowy, wybrałem się z największą ochotą do obozu z Mokronowskim, w którego talentach zupełnie miałem zaufanie, a w sercu jego, jako prawdziwy przyjaciel, umieszczony byłem. Wspólne nas łączyło zdanie, wspólny sposób myślenia. Należałem

do wszelkiej wojskowej rady, bom o wszystkiem z urzędu musiał donosić radzie, i o wypadkach wojennych czynić rappaorta szczególnym było pełnomocnika obowiązkiem. Najtrudniejszą częścią mego urzędu było opatrywanie w wszelkie potrzeby, a szczególnie w żywność, wojska, przy którym byłem. Wymaszerował generał Mokronowski pod Błonie, i zostawiwszy komendę brygadyerowi Dąbrowskiemu, którego do siebie był przybrał, pojechał ze mną do Warki, dla odebrania tam dalszych rozkazów naczelnika. Tu mi wspomnieć wypada, jak nas względem Kościuszki dzielila opinia. Ja cały zajęty jego wielkością aż do zapalu, nie widziałem w nim jak tylko Cyncynata, Fabiusza. Nigdy, mówiłem, nie pokładał Rzym większej ufności w swych zbawcach, jak cała Polska w Kościuszcze. Każdy, co Polak, pójdzie

na jego hasło; każdy składać będzie ofiary na jego zawołanie. Wsławiony w kraju i Ameryce żołnierz, będzie umiał siłą zbrojną władać; znany z skromności obyczajów, cnót obywatelskich, dary na oltarzu ojczyzny złożone, ku jój tylko powstaniu poświęci. Często aż do niecierpliwości przerywał mi Mokronowski. Nie zaprzeczał Kościuszcze gorliwości, patriotyzmu, odwagi, nawet biegłości w sztuce wojennej; ale nie postrzegał w nim dość tęgości charakteru, tego obszernego światła, jakim tak wysoki urząd jaśnieć powinien. Przytaczał mi przykłady długiej nieczynności po bitwie Raclawskiej, po której był moment zapalić wszelkie umysły, zgromadzić siły, roznieść trwogę powszechną na hufiec nieprzyjaciela; a ten moment został opuszczony. Niewiadomość polityki i sił nieprzyjaciela aż do tego

stopnia posunięte były, że naczelnik dopiero na placu bitwy pod Szczekocinami się dowiedział, że wojsko pruskie, połączone z rosyjskiem, przeciw nam działało! Zasmucały mnie te spory, które zwykle do doświadczenia odroczone bywały.

List od naczelnika doszedł w Warce jenerała Mokronowskiego, ruszyliśmy więc zaraz do niego do obozu, gdzie go po raz pierwszy z blizka poznałem i z nim mówiłem. Przyznam się, iż przystępowałem do niego z pełnem uszanowaniem uczuciem. Skromność jego i małomówność nie zachwiały go w mojej opinii. Wystawiłem sobie w jednym momencie tę prawdę, że te własności zwykle wielkim ludziom towarzyszą. Wiedziałem, że bardzo czule przyjmował moje oświadczenia i w krótkich wyrazach potwierdził mój wybór na plenipotentą, do czego przydał słów

kilka: iż potyczka pod Szczekocinami 6go Czerwca, nie mogła wypaść dla nas szczęśliwie, gdyż Roszyan w niej było 12,000, a Prusaków 15,000, pod dowództwem samego króla pruskiego. Dalej zatrudnił się organizowaniem kawaleryi, aż do wieczery, na którą zaproszony, znalazłem ją prawdziwie spartańską z różnicą, że co tam czarna breja, u Kościuszki cholodec litewski pierwsze miał miejsce; zresztą, odzież jego Krakowiaka i materac z jedną poduszką w stodole, oznaczał tylko prawdziwego żołnierza, bez zbytku i okazałości dyktatora. W obozie panował duch powolności i uszanowania dla naczelnika, lubo niektórzy krytykując jego pocichu urzędzenia wojenne, powiadali mi, że gdyby król pruski był obsadził Pilicę, nigdyby Kościuszko z Warszawą złączyć się nie mógł i bylibyśmy wszyscy od

stolicy odcięci. Ale to należy do historyi. Ja po odebranych rozkazach wróciłem z jenerałem Mokronowskim pod Byszow, ztamtąd pod Błonie. Jenerał Mokronowski był ciekawy, czym nie odmienił opinii o naczelniku. Odpowiedziałem: iż zawsze go szanuję, dopóki mu naród nie odmówi swego zaufania. Że on o losie ojczyzny nie rozpacza, i szczerze się do jój obrony bierze. Wypada z naszej strony wspierać jego słabość ręką i meztwem.

W tym czasie Dąbrowski śledząc nieprzyjaciela aż ku Łowiczowi, dał się coraz bardziej poznać. Pozwolono mu rekrutować lekką kawaleryą, którą on mazurami nazywał. Prusacy wpadli w okolice Warszawy, przeciw którym wysłany był jenerał Sierakowski. Dnia 23go Czerwca poseł pruski Buchholtz, opuścił Warszawę. Widział się z nim pod Bło-

niem Dąbrowski. z którym dnia 26. Czerwca złączył się Mokronowski. W tym stanie rzeczy, księżę Józef Poniatowski, mąż pelen charakteru i honoru, dobry Polak, który jako wódz naczelny wojsk naszych, roku 1792. przeciw Rossyi przez matkobójcze plemię konfederatów targowieckich prowadzonej, walczył z mężstwem i sławą, i gdy król do konfederacyi targowieckiej przystąpił, służbę i wszystko porzucił; przecież, że był Poniatowski i synowiec króla, miał na sobie grzech pierworodny urodzenia i ztąd nieufność ludu. Cierpiał na tém ten mąż bez skazy i podał żądania swoje Kościuszce, który w r. 1792. był pod jego dowództwem, iż w tak chlubnej dla Polaka epoce, chce przynajmniej wstąpić jako woluntaryusz w szeregi ojczyste. Długo nad tém rozmyślano, aż naczelnik za radą roztropanych, pozwo-

lił mu znajdować się przy dywizyi Mokronowskiego. Przybył więc do nas pod Błonie dnia 26go Czerwca, i lubo jako wolontaryusz odbierał szacunek, jaki się jego talentom, szlachetności i randze dawniej należał.

W tym czasie widzieliśmy, że nieprzyjaciel wszystkie swe siły ku Warszawie zgromadzał i tam zwolna swe kroki kierował. Naczelnik zawsze się nad Pilicą trzymał, Mokronowski w Błoniu stolicę zasłaniał. Lecz kiedy Polak, żołnierz z nieustraszonem mężstwem pierś swą z granitu przeciw wrogom nadstawiał, krwawa tłuszczka warszawska, haniebnych mordów na swych braci, knuła spisek. Długo z niecierpliwością oczekiwana rada główna, czyli najwyższa, ciągniona przez obywateli, jak gdyby w zwyciężkich rydwanach weszła do Warszawy. Ona z planu powstania krakowskiego, miała być

mocą wykonawczą i najpierwszą podporą rządu rewolucyjnego, stojącego pod władzą naczelnika. Czyli ona odpowiedziała nadziejom i potrzebie narodu

Zaczęto postrzegać słabość naczelnika i nadto zbyt ufną jego w podkanclerzym Kołłątaju, którego powszechnie Robespierem nazywała. Ale wiadomość dziejów świata zdawna mnie nauczyła, że opinia ludu nie zawsze jest dowodem prawdy. Jakkolwiek bądź to tylko wspomnę, iż dzień 28go Czerwca, rzucił płamę na odwieczną czystość naszego narodowego charakteru.

Wieszalo pospólstwo w tym dniu, bodajby na zawsze z biegu czasów wymazanym, bez procesu i dowodów. Cnotliwy prezydent Zakrzewski, rzucił się na ciało referendarza Moszyńskiego, już na ofiarę mordu skazanego. Byłbym to sam uczynił, będąc

przytomnym w Warszawie, aby ocalić mego szanownego kolegę Wolfersa, którego wspomnienie zawsze mnie rozczuła i stratę dla kraju w jego osobie wystawia. Ta zgroza doszła nas w obozie i wszystkich dobrze myślących, grubą okryła żalobą.

Tymczasem Prusacy atakowali nas 7go Lipca pod Bloniem i 10go; bez wszelkiego planu rejterowaliśmy pod Marymont, dokąd z pod Gastkowa zbliżał się generał Zajączek, a za nim naczelnik. Ja byłem ciągle przy wojsku w obozie pod Marymontem, ale nie zaprzeczam, iż z tego, com widział, nadzieje me gasły. Kościuszko założył swą główną kwaterę w Mokotowie, i Dąbrowskiego, który już był został generałem majorem, do siebie 28go Lipca pod Czarników wezwał. Odpowiedział on zaufaniu naczelnika, i Rossyan od Siekierok i Augusto-

wa odparł. Jenerał Mokronowski w Marymoncie pozostał i ja przy nim, jako pełnomocnik, nie widząc Warszawy po ostatniej rzezi. Książę Józef Poniatowski już był wszedł w służbę i razem z Mokronowskim działał. Byliśmy w obleżeniu przez liczne wojska pruskie i rossyjskie, a że w Litwie niepomyślnie nam szło, umyślił naczelnik wysłać tam Mokronowskiego; jakoż 6. Sierpnia wyjechał tam dla objęcia komendy najwyższej, a książę Józef na jego miejsce odebrał kommandę nad dywizyą stojącą pod Marymontem, przy którym równie jak pełnomocnik zostałem. Przekładałem obóz nad miasto, w którym coraz większe mnożyły się intrygi, nieporozumienia, nieufności. Naczelnik był coraz bardziej oskarżany o słabość, ksiądz Kollątaj o dumę i chęć panowania. Zaczęło nam brakować na żywności; dalecy

przecież byliśmy jeszcze od głodu, bo Rosyianie i Prusacy, którzy Warszawę oblegli, niepojętym jakimś wypadkiem, zostawili nam wolny otwór od Pragi, tak, iż z za Wisły podsyłani byliśmy żywnością. Prezydent Zakrzewski dawał w tym stanie rzeczy dowody najgorliwszej czynności i obywatelstwa, niósł ciągle ofiary z dóbr swoich zawiślańskich.

Tymczasem Prusacy od Woli, Rosyianie ze strony Mokotowa nie przedstawiali czynić przygotowań do zdobycia Warszawy. Ustawiczne następowały wycieczki, aż téż 26. Sierpnia o północy król pruski z wielką amunicją zbliżał się od Woli do rogatek. Stał na swoim miejscu książę Poniatowski, przy którym byłem nieodstępny. Sypały się naówczas kule i bomby; każdy się szturmowi spodziewał. Przecież wkrótce przekonaliśmy się, iż z téj strony

falszywy był atak; prawdziwego swego zamiaru dopiął nieprzyjaciół gdy nade dniem opanował góry zwane szwedzkie, po lewej stronie Woli naprzeciw Marymontu. Na pierwszy w tamtej stronie wystrzał pobiegł książę Józef, ale nim do tych gór dojechaliśmy, już z nich zepędzone były poczty nasze. Napróżno chciał książę je odzyskać, nasze wojska wycierpiały wiele postępując naprzód, aż też wreszcie rejterada powszechna ku okopom warszawskim nastąpiła. Książę Poniatowski lekką otrzymawszy kontuzję, pełen rozpaczę wrócił do miasta. Oburzyły się na niego umysły wszystkich. Jedni wołali: zdrada! drudzy posądzali go o nieprzytomność w obozie. Tu z obowiązku mego urzędu obszerne na piśmie złożyłem w najwyższej radzie dowody, iż książę na pierwszy wystrzał z pod Woli znalazł się na czele wojska, i że

obok niego w ciągłym stałym ogniu. Raport mój nie mógł być podejrzany, ale niechęci przeciw księciu nie przytłumił. Zarzucano mu niepilność i nieczynność... Naczelnik w takim zamieszaniu lękając się, aby Prusacy nie wpadli do Marymontu, zdał czém prędzej 27. Sierpnia zaraz na tym punkcie komendę generałowi Dąbrowskiemu.

Ile w tym dniu książe Poniatowski stracił na opinii publicznej, tyle generał Dąbrowski zyskał. Taka jest nagła zmiana w losach ludzkich! Generał Dąbrowski objawszy komendę, zaraz nazajutrz założył kamień węgielny swój przyszłej sławy, gdy się mężnie stawił Prusakom pod Powązkami i z podziwieniem wszystkich do rejterady ich zmusił. Naczelnik, który był w nagrodę cnoty i mężstwa ustanowił złote obrączki z napisem: „Ojczyzna swemu obrońcy“, taką

z numerem pierwszym Dąbrowskiemu przysłał. Pamiątka chlubniejsza nad inne ordery, które często intryga bez zasług odbiera. Co do mnie, ten los Dąbrowskiego zbliżył mnie, jako pełnomocnika, do jego osoby i serca... Zachowaliśmy dla siebie na zawsze uczucia prawdziwej przyjaźni. Z tém wszystkiém Rossyanie i Prusacy nie przestawali w swych zamiarach dobycia Warszawy. Kilkakrotnie wzywali nas do poddania się, kilkakrotnie zagrażali szturmem, gdy naczelnik, oddajemy mu sprawiedliwość, z pogardą odrzucał propozycye nieprzyjaciela. Tu Kościuszko wolnego Polaka okazał serce i postawił się w równi z wszystkimi obrońcami sławnego niegdyś narodu. Ale mimo nasze meztwo dobyć było można stolicę z wielu powodów, gdyby na szczęście między Prusakiem i Rosyanami nie była się zawiązała za-

zdrosć, po téj niezgoda. Chciał król pruski, gdyby można, bez pomocy rossyjskiej, opanować Warszawę, chciał ją podobno ocalić od mordów i pożogi. Postrzegli to Rossyanie i zapewne nie chcieli być narzędziem ambicyi obcej. Nastąpiły ztąd nieporozumienia wzajemne, zwolniały związki w działaniach i w ten sposób ocalala na teraz Warszawa.

W téj politycznej niezgodzie tlił się jeszcze w województwach wielkopolskich ogień miłości ojczyzny. Ten zapal, im mniej był spodziewanym, tém dotkliwiej przeraził. Na hasło powstania w Polsce opuścił król pruski granice Francyi, a pod Warszawą, gdy się o powstaniu wielkopolskiem dowiedział, czém prędzej zapęd dalszego jój oblężenia porzucił.

Niechby ten czyn do najpóźniejszych wnuków przeszedł, którzy go

pewno więcej jak współczesni wielbić będą! Nie była to zgraja, co się na hasło zdobyczy lub mordów gromadzi i uzbraja; byli to obywatele wielkopolscy wychowaniem i majątkiem obdarzeni, którzy w nadziei podźwignienia swój matki ojczyzny, z której łona wydartymi zostali, opuściwszy swe żony i dzieci i dostatki, rzucili się w zapale do broni i na najsroźsze poświęcili się losy! Niewyćwiczeni w sztuce wojennej, uzbrajali się wśród licznych nieprzyjacielskich zastępów. Otaczała ich na okół zdrada i przemoc; nadzieja pomocy była niepewna i daleka.

Jeden nieszczęśliwy wypadek mógł im odebrać majątek, okuć ich w kajdany i groby otworzyć. Ale taka jest niewyrachowana siła patryotyzmu nad umysłem człowieka, iż się wyzuwa z miłości własnej, zrzeka się wszelkich własnych widoków i

nie widzi jak tylko niebezpieczeństwo i potrzeby swój matki! Tak w wiekach cnoty myśleli prawdziwi republikanie; tak wy szanowni współrodacy w wieku zepsutych obyczajów!

+ W Poznańskim i w Kaliskim zaczęły się walki zwyczajne; w Kujawskim topiono amunicyę, prowadzone na Wiśle dla zdobycia Warszawy. Wszędzie pleć piękna urodzeniem i wychowaniem zaszczycona, dzieliła twarde trudy i groźne niebezpieczeństwa z walczącymi, i do mężstwa ich zapalała. Taki niespodziewany zapal, rozniósł powszechną trwożę, słabość stała się w oczach nieprzyjaciela olbrzymią potęgą. Naczelnik umiał cenić ten związek: przysłani do niego delegowani generał Niemojewski i pólkownik Moskorzewski, przyjęci byli na łono braci z rozczuleniem, każdy przeglądał w tém obywatelskiem powstaniu skuteczną

dywersją, i naczelnik już był wczesne w tym zamiarze uczynił kroki; teraz podwoił starania; tymczasem król pruski, zatrwożony w pierwszych dniach Września, opuścił Warszawę. W takowych zamieszaniach, nim jeszcze do smutnych przyszło ostateczności, starałem się moją żonę z małemi podówczas dziećmi do Zamościa przesłać, gdzie pan Owidzki, mój siostrzeniec, zarządzający ordynacją zamojską, był zamieszkały.

Po tak nagłym i niespodzianym odstąpieniu króla pruskiego, mnie nowe czekało przeznaczenie. Naczelnik postanowił wysłać generała Dąbrowskiego na pomoc Wielkopolanom. Bądź z przekonania, bądź z natchnienia prezydenta Zakrzewskiego, bądź wreszcie na żądanie samego Dąbrowskiego (niewchodzę); naczelnik nominował mnie pełnomocnikiem rządowym przy korpusie do Wielkopolski

przeznaczonym. Pomimo szczerój mo-
jój niechęci uległem nakoniec, jako
dobremu Polakowi wypadło, woli
naczelnika i instrument pełnomocnika
z obszerną mocą i bardzo dla mnie
pochlebnią przyjąłem. Oddał mi Ko-
† ściuszek do mego szafunku wielką
ilość obrączek: „Ojczyzna swemu
obroncy!“ zobowiązał szczególnie do
rozszerzenia ducha obywatelskiego i
utrzymania ducha jedności między Ma-
dalińskim i Dąbrowskim. Umrę z tém
przekonaniem, żem w niczém ufności
jego nie zdradził.

Dnia 9go Września otrzymał Dą-
browski ordynans, a 10go ruszył
z Warszawy pod Kamionkę, gdzie
miał przejść Bzurę, siła jego cała
(jak przykro wspomnieć!), przeciw
potędze pruskiej była: jazdy 900,
† piechoty 1500, armat sześćofuntowych
8 i trzyfuntowych 8. Z taką siłą
wymaszerował Dąbrowski z Warsza-

wy, i do niego przyłączył się jenerał Madaliński w Kamionnie z 600 konnicy, Niech tu oddam hold cie- niom jenerała Rymkiewicza winny, człowieka zimno rzeczy rozbierające- go, pełnego wiadomości, a szczegól- nie zdrowego rozsądku, nieustraszo- nój odwagi. Przeszedł on był z za- konu Jezuitów po ich reformie do wojska polskiego. Gdyby go zawcza- su śmierć we Włoszech nie była za- szła, może byłby jeden z najwięk- szych jenerałów.

Jenerał Dąbrowski zataiwszy swe imię, był wydał roku 1796. dzieł- ko pod tytułem: „Beitrag zur Ge- schichte der polnischen Revolution im Jahre 1794.“ Tam wszelkie swe operacye w téj kampanii opisał, nie będą ich więc powtarzał. Wspo- mnieć jednak muszę; co on w tém dzie- le przepomniął, iż ja, pełniąc w całym zapale powinność Polaka i pełnomocni-

ka, wymógłem na jenerale Madalińskim, iż mu dał pocałowanie braterskie i pod jego poszedł kommandę.

Zajątrzyła się była rana Madalińskiego, jenerała; gdy przybywszy z Sochaczewa do Kamionny, zobaczył naczelne dowództwo w ręku Dąbrowskiego, który nie dawno temu, był jego podkomendnym i źle widzianym. Przeglądałem w téj niezgodzie smutne dla sprawy publicznej wypadki; przy pierwszym się zatém widzeniu Madalińskiego z Dąbrowskim, tak wystawiłem potrzebę ich jedności dla dobra wspólnej naszej matki, iż rozczulony Madaliński ucałował Dąbrowskiego i rzekł: Choć starszy jenerał, idę pod twoje rozkazy! Niech ten krok Madalińskiego przejdzie przez me pióro do późnych potomków! Wszakże u Greków i Rzymian ten czyn byłby go unieśmiertelniał. Zrobić ofiarę z miłości własnej dla miłości ojczyzny,

jest to cnota prawdziwie republikańska! do której się unieść pod rządem samowładnym żadna dusza nadepta nie potrafi. Wie niebo tylko, z jaką pracą utrzymywałem aż do końca zgodę między tymi jenerałami! Madaliński (to mu krzywdy nie czyni) w niedostatku edukacyi wojskowej u nas, był tylko żołnierz fortuny, nie mógł mieć tych wiadomości, których Dąbrowski nabył w wojsku saskiem. Kochał swą ojczyznę i był pełen odwagi, zgola partyzant śmiały, gdyby go wódz naczelny prowadzić był umiał. On zwykle mawiał: ja, gdzie chcecie, żołnierza wprowadzę, ale nie ręczę, czy go wyprorowadzić potrafię! Dąbrowski, w młodości w szkole wojskowej saskiej wychowany, gdzie się wszystko pod pewnemi prawami żołnierskiej karności działo, nie miał dość wyobrażenia o téj popularności, którą trzeba

uzyskać i której niekiedy uledez w republikanizmie wypada.

+ Wkroczyliśmy szczęśliwie w województwo poznańskie; szanowny obywatel Gajewski z Wolsztyna był pierwszy, który drogę nam zabiegł i w imieniu powstania z uczuciem witał. Ale już w Kole i innych miejscach zabiegali nam drogę insurgenci kujawscy pod komendą kasztelana Mniewskiego. Czyli Dąbrowski dość umiał cenić ten zapal republikański, niewiem.

Może, że mu był obcy, a może też, jako żołnierz od dzieciństwa regularny, nie mógł się oswoić z tą zbieraniną, którą zapal miłości ojczyzny uzbroił w różną broń i kosy. Tak przecie wielki Wassyngton rozpoczął wojnę i Amerykę oswobodził. Co do mnie, towarzysząc ciągle Dąbrowskiemu, zawsze mu szacunek dla obywateli wpajałem. Jenerał uor-

ganizował przeszło 4000 ludzi z powstania i do wojska regularnego przyłączył, tak, iż cała siła nasza już do 7000 się wzmogła. Z téj wykomenderował część pod Poznań i inne strony dla wstrzymania nieprzyjaciela, z resztą zaś korpusu odparł pod Łabiszynem półkownika Sekuli, ścigał go pod Bydgoszcz i do tego miasta dnia 2. Października wszedł. Sekuli był ranny od kuli armatnej i od swoich opuszczony, leżał na ulicy. Dąbrowski obszedł się z nim, jak ludzkość i wiek cywilizowany wymagał. Był on rodem z Węgier, prawdziwe plemię Hunnów, okrutny barbarzyńiec, który bez wszelkiej litości obchodził się z obywatelami i nawet pleć żeńską, posądzoną o znowę rewolucyjną, pod szubienicą z powrozem na szyi stawiał. Gdyby śmierć nie była nas uwolniła od tego barbarzyńca, wściekłość jego rozjuszona niebyłaby

była znała granic. Był to partyzant bardzo śmiały, umocowany od króla ścigać podejrzanych obywateli.

W Bydgoszczy był trybunał sprawiedliwości i kassa administracyjna pruska; tu do mnie należało znieść tę władzę cywilną i wrócić miastu urzędy narodowe. Tém się więc zaraz zająłem. Zwoławszy na zwykłe posiedzenia członków rządu pruskiego, zapowiedziałem wszystkim urzędnikom pruskim, że się ich urzędowanie skończyło. Dwóch prezydentów pruskich z kilku członkami, tak jakem miał w instrukcyi, w zakład naszego bezpieczeństwa wzięwszy, do Warszawy odesłałem. W takiej zmianie, jak można było, na prędcę wybrałem rodaków do sprawiedliwości i administracyi. Wydałem proklamacyą do ludu, iż przyśliśmy braci naszych uwolnić od obcej władzy i wrócić ich na łono powszechnej matki i t. d.

Zaręczyłem każdemu bezpieczeństwo i całość własności. Jakoż ku chwale naszego żołnierza i jenerałów miło mi jest wyznać, że lubo jak szturmem weśliśmy do miasta, wszelka przecież własność mieszkańców jak w pokoju szanowaną była. Nikt gwałtu, nikt przykrości nie doznał. Ja, który kilka dni stałem u jednego obywatela, zapłaciłem mu za stancją, albo raczej zadziwionemu pieniądze na stole zostawiłem. Co się tyczy składów publicznych, tych ile możności kazalem spisać inwentarz. Największa część poszła na potrzeby wojskowe; mało co zapewne ubocznie ręka prywatna zagrabiła. Coś tam ze składu porcelany miano sobie podobno zabrać, ale to do mnie nie doszło aż bardzo późno.

Przecież Bydgoszcz we wszystko obfita zaczęła być, poniekąd Kapuą dla wojska. Zaczęto szemrać na

moję spartańską skromność; wymagano, abym nałożył kontrybucyę na miasto, dla nagrody wojska. Przyszedł do mnie z tą propozycyą w tonie dość nieprzyzwoitym, Piotr Z..., przyjaciel Dąbrowskiego od Saksonii; ale dawszy mu poznać moję władzę, wystawiłem zgrozę, którejbyśmy się dopuścili, uciemierzając naszych współbraci, którym mieliśmy przynieść pokój, wolność i wszelkie narodowe swobody. Zabezpieczyłem w ten sposób własność obywateli, i uchroniłem może ducha żołnierskiego od ponęty grabieży i skłonności do zbytku. Jedną chlubną dla Polaka nagrodą, była obrączka złota: „ojczyzna swemu obrońcy.“ Te powierzone mi od naczelnika, z wielką przecieź skromnością rozdawałem zasłużonym przez patryotyzm i waleczność. Tak mówiłem: w świetnych wiekach wolności, wieńczył Rzymianin swe skronie

zieloném liściem za największą nagrodę.

Gdy taki był stan rzeczy w Bydgoszczy, myślałem, jakby dalej rozszerzać powstanie, podług danej mi instrukcyi i własnego uczucia. Będąc rodem z Prus polskich, miałem me związki i familią w województwie dawniej pomorskiem. Przez różne stosunki czyniono mi nadzieję opanowania samego nawet Gdańska. Komunikowałem tę myśl Dąbrowskiemu i żądałem, aby dodał konnicy do tetowania zamiaru. Jego zamysłem było, dobyć Toruń, dał mi jednak sto kawaleryi, pod kommendą słabego oficera Łaszczyńskiego. Hazardowałem się przecież i do miasta Świecia doszedłem, gdzie na drugim brzegu Wisły, stanął rejment huzarów żółtych pruskich, nie odważył się przecież przeciwko mnie przeprowić. Tu doświadczyłem, co to jest trwoga.

Wszystkie przedmioty, drzewa i t. d., wystawiały nieprzyjacielowi, jak się później dowiedziałem, ogromną siłę. z którą myślał, że wkracza powstanie. Dano mi czas opanowania Świecia; tam uorganizowałem urzędy krajowe, ale wkrótce moje i generała Dąbrowskiego nadzieje znikły, gdy wiadomość przegranej pod Maciejowicami i wzięcia w niewolę naczelnika Kościuszkę, do naszych doszła uszu. W tém niby bezkrólewiu powstały intrygi, a niepewność dalszych obrotów, radzić nie mogły Dąbrowskiemu, jak tylko spieszny powrót do Warszawy. Różne różnych były zdania; nakoniec generała przedsięwzięcie było śmiało wracać się na Wrocławek, brzegiem Wisły ku Bzurze. Trzeba było tyle mieć szczęścia, ileśmy mieli, i trzeba było, aby generał Szweryn, mający blisko 20000 wojska, tak był zatrwożony, że

ciągle około nas krążąc, nie śmiał na naszą znużoną garstkę uderzyć i przejść nam Bzurę pod Grochowem do Warszawy pozwolił.

Już od Bydgoszczy w rejteradzie zmniejszały się nasze siły, zbieranina kossynierów do domów wracała, a w obywatelach, którzy domy i familie z gorliwości porzucili, trzeba było zanadto tęgości charakteru i poświęcenia, aby się na Łódź już prawie rozbitą puścili. Było ich przecież wielu.

Po nieszczęśliwem zdarzeniu Kościuszki, który jak sam mniemam: przez źle wyrachowane operacye wojenne, poniósł tę klęskę, rada najwyższa wojenna, obrała naczelnikiem jw. Wawrzeckiego.

Mąż ten szanowny, był się wsławił na sejmie konstytucyjnym przez swój charakter i przywiązanie roztropne do rzeczy publicznej; ale nie

posiadał najmniejszej wiadomości wojskowej i z płaczem jak niegdyś Wiśniowiecki ten ciężar przyjął. Przybywszy do Warszawy przed jenerałem Dąbrowskim, który wojsko prowadził, zastałem naczelnika z całą radą w największem pomieszaniu. Marszałek litewski, Ignacy Potocki i podkanclerzy koronny, ksiądz Hugo Kollątaj, którzy byli przy sterze rządu, opuścili w téj burzy ręce. W tym stanie rzeczy, trzeba nam było człowieka z tym nadzwyczajnym geniuszem, jakich rzadko natura wydaje, a którzy tylko sami naród z przepaści wyrwać mogą. Takiego człowieka, powiedzmy prawdę, nie mieliśmy; w tym niedostatku rewolucya nasza upadła. Uczynilem nowemu naczelnikowi raport z mych czynności, zwróciłem mu obrączki złote, które mi się zostały i o blizkim powrocie jenerała Dąbrowskiego zapewnilem. Ale

to wszystko było przyjętem, jako w owym pożarze, gdzie się każdy krzątał bez zmysłów, pewnych do ocalenia siebie nie przedsię biorąc środków.

Przybył nakoniec Dąbrowski z ocaloném swém wojskiem pod Warszawę. Naczelnik, niewiem jakim wrogiem przeciwnym, zamiast go złączyć z całą swą siłą przeciwko Suwarowi, który pod Pragę postępował, dał mu rozkaz maszerowania z przydanymi Litwinami ku Rawie dla obserwowania Prussaków. W takim urządzeniu oddany mi był znowu urząd pełnomocnika przy korpusie Dąbrowskiego. Nim dokończę smutną historią naszego powstania, muszę co do historyi życia mego nadzwyczajny przytoczyć przypadek. Gdy generał Dąbrowski, jak się powiedziało, wracał na Wrocławek, spokrewniony ze mną ksiądz kanonik Jeziński zwierzył mi, o czém nie wiedziałem, że

ś. p. kanonik Lniński, wuj mój rodzony, złożył kilka tysięcy i niektóre precyoza u kapitulacza w Wrocławku i te mnie legował. Oddała mi ten depozyt kapituła, który w téj okropnej dla mnie chwili stał mi się funduszem wyjechania z kraju aż do Paryża. Dzieło to szczególniej nade mną opatrności! Doznawalem zawsze z najżywszém uczuciem nieustannéj jéj opieki we wszystkich przeciwnościach, któremi od młodości byłem miotany.

Podług woli naczelnika wymaszerowaliśmy ku Rawie. — Dąbrowski w dobrach wojewody Walickiego, Małowieś zwanych, stanął obozem dla urządzenia swoich dalszych obrotów. Było to w bliskości dóbr moich pod Warszawą, Krobów, które zupełnie zniszczone przez Rossyan znalazłem.

Tak całe życie fortunkę moję zja-

dały rewolucya albo usługi publiczne! Tu miło wspomnieć, iż jw. wojewoda rawski, Walicki, dóbr, gdzieśmy stali, dziedzic, i mój sąsiad, oskarżony został na początku rewolucyi przez niechętnego sobie imiennika o porozumienie się z Rossyanami. Tę nowinę głosił po całym mieście. Wojewoda Walicki był pan majątny, a zatem cheiwa na zdobycz chałastra w wielkiej assystencyi przyprowadziła na radę potwarcę i dekretu na zdrajcę Walickiego żądała. Stałem niezachwiany w obronie oskarżonego i oskarżyciela do wysłuchania skargi, kazałem na ratuszu zamknąć. Ale już na drugi dzień kazałem go do innego więzienia poprowadzić, gdym się z własnego jego zeznania i t. d. przekonał o niewinności wojewody.

Tłómaczyłem się w mowie głośniejszej na ratuszu, iż gdyby się jeden taki połów udał, jużby nikt nie był

pewny swój osoby i własności. O pozory nie trudno. Mruczala na mnie długo tłuszcza, zdobywszy chciwa, a tymczasem potwarca z rozpaczy i zgryzoty sumnienia w więzieniu umarł.

Jenerał Dąbrowski, wykomenderowany, jak wspomniałem, na obserwacyą siły pruskiej pod komendą jenerala Favrat i Kleist będącej, stanął był w Starójwsi pod Grojcem blizkich wiosek; ztamtąd czynił dalsze układy dalszego ruchu, któremu, jako pełnomocnik, starałem się być pomocą. Ale wtém śmierci godzina dla naszego powstania wybiła!... Suwarow podstąpił pod Pragę i dnia 4go Listopada zniósł nasze koło niej stojące wojska, a co się z niego do Warszawy dostać nie mogło, wraz z nieszczęśliwymi mieszkańcami Pra gi wyrzwał! Rachowano do 12,000 ofiar, które pod skrwawionym orężem rossyjskim poległo! Wszystko na łup

i mordy upojonemu oddane było żołdactwu!... Wypada mi pióro z ręki, opis téj krwawej sceny nie do mnie należy! Wojskiem około Pragi dowodził generał Zajączek, który ranny do Warszawy się szczęściem dostał. Naczelnik Wawrzecki równie szczęśliwie się przedarł. Wszystkich ogarnęła rozpacz, król dopiero wtenczas znowu stanął na czele rządu i z Suwarowem negocyował.

Ja od rana, zostawiwszy generała Dąbrowskiego pod Starąwsią, pojechałem do siebie do Krobowa. Wracając w wieczór przez Grójec do Warszawy, spotykam pełno uciekających z Warszawy. Łzy i jęki ledwo im pozwoliły opowiedzieć okropny los Pragi. Wtenczas wszystkie nieszczęścia ojczyzny i moje osobiste stały mi przed oczami! W oblężeniu spotykam pana Łyszkiewicza, bankiera, który równie Warszawę porzucił i

do Galicyi przez Pilicę się przebie-
rał. Był to dobrze życzący mi oby-
wateł; radził mi, abym bez stracenia
czasu z nim jechał, zaręczając, iż
mnie przez swe znajomości przepro-
wodzi do Zamościa, gdzie była moja
żona i dzieci i gdzie mój siostrzeniec
pan Owidzki zarządzał ordynacją
zamojską. Skłoniłem się do téj pro-
pozycji. Przeprawiliśmy się przez
Pilicę pod Białobrzegiem, i już mi
pan Łyszkiewicz aż do Zamościa to-
warzyszyl.

Jeszcze dotąd za nadto mam bó-
lem ściśnione serce, abym téj piel-
grzymki malował obraz. Nie widzia-
łem nigdzie, jak tylko grób ukocha-
nej ojczyzny, jak tylko mogiły usute-
dla walecznych i cnotliwych jój sy-
nów. Dla siebie sto razy wzywałem
śmierci. Przepędzałem dzień i noc
w myśleniu. Napróżno wystawiałem
sobie upadek tylu wielkich walecz-

nych narodów! Nie ma znaku Troi, Kartaginy! Ojczyzna Leonidas, Ateny, stały się łupem barbarzyńców! Rzym, ów pan świata, ugiąwszy tyle razy kark pod ostrzem żelazca barbarzyńskiego, stał się na koniec własnością mnichów!

To wszystko nie goiło méj rany. Wszystkie te narody upadły w swój już zgrzybiałości. Polska przez konstytucyą 1791. roku była w kwiecie swój młodości, i jak w téj wiosennej porze, miała się w całej swój wielkości rozwinąć; nieszczęsne wrogi sprzysięgły się na jój zgubę!

Gdy mnie tak okropne trawiły myśli, mój anioł, pocieszyciel, Łyszkiewicz, ucierał się z Kroatami nad Wisłą, którzy nas wpuścić do Galicyi nie chcieli; wzywał pomocy żydów z Kazimierza, którzy go znali i już o milę od Zamościa mnie w bezpieczeństwie zostawiwszy, sam do Lwo-

wa pojechał. W pierwszym folwarku do ordynacyi należącym, zwierzyłem się urzędnikowi, kto jestem; ten natychmiast wysłał z mym listem do pana Owidzkiego do Zamościa. Odebrałem odpowiedź, że jenerał Zajączek, ksiądz Kołataj aresztowani byli w Galicyi i do fortec zawiezieni; że ja, nie mogę się dać poznać w Zamościu bez niebezpieczeństwa, dopóki od jenerała, tam stojącego, nie było zezwolenia. Przy tym liście przysłał mi ukochany siostrzeniec człowieka, który mnie tymczasem na ustronny miał zaprowadzić folwark. Droga przypadła przez Zamościa przedmieście. Gdy się tam zbliżyłem — Boże! co za widok dla ojca! dwaj moi synkowie wracali z kucharką ze spaceru do matki. Zakrywałem oczy łzami zalane; przecież jakieś natury natchnienie, dorozumiewały się moje dziatki, jak się pó-

źniej dowiedziałem, że to ich ojciec!
— Jenerał nastawał na mój wyjazd, uprosilem więc żonę, aby z dziećmi wróciła do kraju, gdy siebie nieprzyjaznym losom oddać wypadało. Skłoniła się do tego. Nadzieja, ta szczególna pociecha dla żyjących, wystawiała mi zmianę okoliczności; ludziśmy się nawzajem z żoną pomyślnemi widokami na naszym ostatniem tkliwém pożegnaniu!

Zima była okropna, pobyt mój w Zamościu, był w Styczniu 1795. Jeździłem po przyjaciółach moich po Galicyi, aż ku Dniestrowi, gdzie się bawił mój zbawca Łyszkiewicz. Błąkanie to moje chciałbym zapomnieć. Po niejakiem czasie, znalazł mnie list mego siostrzeńca, w którym mi donosi w wielkiej tajemnicy, iż pani ordynatowa Zamojska, żona owego sławnego Andrzeja Zamojskiego, który mnie do układu praw z sobą był we-

zwał, umyślnego z Wiednia przysłała, że na podaną notę przez posła pruskiego Luchesiniego, dozwolono mnie śledzić i chwycić, jako zloczyncę, którego sobie narody nawzajem wydawać powinny. Tu pani Zamojska, ta cnotliwa Polka, dodała: aby mi pan Owidzki wszystkiego dostarczył na drogę; przestrzegala mnie również, żebym się koniecznie na Wołoszczyznę udał, gdyż przez Niemcy w żaden sposób się nie uratuję. Roniłem lzy wdzięczności, na ten czyn wspaniałej Zamojskiej, która wszystkich dobrych Polaków była matką. Ale ani pieniędzy, ani rady nie przyjąłem.

Pieniądze, jak wspomniałem wyżej, miałem z daru Opatrzności.

Na Wołoszczyznę udać się pomiędzy Greków nie chciałem, bo mi stało w oczach ich prześladowanie, jakiego od nich doznałem w czasie

konfederacyi barskiej. Nadzwyczajną przeto myśl w pierwszym zapale powziąłem, udania się prosto do Wiednia. — Tam chciałem notę podać dworowi, usiłując dowieść, iż nie jestem ten zbrodniarz ohydny, którego sobie nawzajem narody wydawać powinny, lecz tylko Polak broniący swój ojczyzny. Jeżeli przeto patryotyzm jest zbrodnią, więc czekam kary, dodając: *dulce et decorum est pro patria mori*. W takim szale pojechałem do Lwowa. i pomimo biegającego na mnie cyrkularza z opisem méj figury, sam nie pojmuję, w jaki sposób otrzymałem paszport do Wiednia. Ten otrzymawszy, na wszystkie przedstawienia mych przyjaciół zlodowaciałem, i drogę moję na Tarnów obróciłem do Wiednia.

W Tarnowie odwiedziłem mego szanownego generała Mokronowskiego, który; jak mnie tylko spostrzegł,

rzekł; „czy nie wiesz, jaki cyrkularz za tobą ściga?“ — odpowiedziałem: „że wiem i oto mój paszport, jadę do Wiednia.“

Szanowna jenerałowa, z domu książąt Sanguszków, niechby ją wszystkie pomyslności okryły! odezwiała się: ach, na jakież niebezpieczeństwa chcesz się pan narażać! czy będziesz przyjęty i wysłuchany? ukój ten twój zapal. Ja zaproszę dziś na kolacyą kreiskapitana, i panu, jako memu kamerdynerowi, pod nazwiskiem Sokół, paszport do Pragi, do księżnej Poniatowskiej, matki księcia Józefa wyrobię, a ta pani dalej cię wyprawi do Francyi. To był głos opatrności, która mnie znowu wybawić chciała! Ukorzyłem się przed wolą nieba! Pani Mokronowskiej najczulszą wyraziłem wdzięczność z oświadczeniem, iż za jęj radą pójdę. Po kolacyi z kreiska-

pitanem, otrzymałem z rąk najpiękniejszych mój paszport, i zaraz wzięwszy pocztę, udałem się do Pragi, jako Sokół, oświadczywszy na pożegnaniu pani mojej tysiączne podziękowanie i nieśmiertelną wdzięczność, którą pewno w mem sercu zachowam.

WYJAZD DO PRAGI



Wjazd do Pragi
Przyjeżdżając do Pragi, do-
wiedziałem się, iż Kollin i Najszek
do twierdzy Jokolstadt do karczma-
rów przewiezieni zostali. Wskazy-
łem nam tam przewoźnikom ludzi,
gdzie już nas wyjeżdżać w Tarowice
dowiedziałem się, że wstąpić nasi
dobrze myślący, pomimo przewoźne-

bliższym, otrzymałem z tak miłym
 kłuszącym mi paszport i wiarę w mi-
 wany pocztę, odłem się do Pragi,
 jako Sokół, oświadczając, że po-
 zegnaniu pani mojej (tytuł) pu-
 bliczności i nieśmiertelną w dzie-
 czość, którą pewno w mem sercu
 zachowałam.

ROZDZIAŁ IX.



Wyjazd autora za granicę.

Przyjechawszy do Olomuńca, do-
 wiedziałem się, iż Kollataj i Zajaczek
 do twierdzy Józefstadt do kazema-
 tów przewiezieni zostali. Wzdycha-
 łem nad tém przeznaczeniem ludzi,
 gdy już na wyjeździe w Tarnowie
 dowiedziałem się, że wszyscy nasi
 dobrze myślący, pomimo przeznacze-

nia Suwarowa, poszli napelniać ciemnice rossyjskie, coby i mnie było spotkało, gdybym był za radą poszedł mego szanownego generała Gorzeńskiego, który mi powrót do Warszawy zabezpieczał, umyślnie do Tarnowa przysłanym listem. Przyjechałem do Pragi szczęśliwie, gdzie w bramie śmiało jako kamerdyner Sokół do księżnej Poniatowskiej zameldowany, bez wszelkich indagacji dalszych, do miasta wpuszczony byłem. Wszakże oficerowie w bramie mieli rozkaz odbierać paszporta podróżnych, czego względem mnie, że nie uczynili, szczególne wynikły wypadki. Stałem zdaje mi się pod „Białym Barankiem“ i dowiaduję się, że księżna Poniatowska, wraz z madame Sali, dawną króla Poniatowskiego kochanką, była na wsi.

W rozmysłach dalszych obrotów, kazałem sobie dać obiad, który po

wyjeździe z kraju, prawdziwie pierwszy raz spokojnie jadłem; gdy w tém sługa policyi z żółtym kołnierzem wchodzi i pyta się, czym jest Sokół? Odpowiadam śmiało, że tak jest! Masz się więc wacpan stawić, rzekł, do ministra policyi, Trautmensdorf. Tysiąc myśli zgromadziło się w momencie w méj głowie. Jednakże pytam się zimną krwią pana policyanta, dawszy mu kieliszek wina, czybym mógł dokończyć obiadu? o *ja*, odpowiedział dobry Niemiec i odszedł. O losy ludzkie! gdy w tym momencie wszystkie mi smutne snuły się myśli, samę pomyślność w tém zdarzeniu gotowały mi nieba. Wziąłem z sobą paszport i uzbrojony na wszystko miną zdecydowaną, poszedłem do pana ministra. Skoro mnie do niego wprowadzono, w okamgnieniu osiadła mnie spokojność. Była to figurka mała, żywa, błada, wcale

nie ministrowska. Odezwał się do mnie: Waćpau Sokol? odpowiadam: tak jest! a jak się wpan odważyłeś wjechać bez paszportu? Ja składam mój paszport w ręce ministra. On: a czemuż go wpan w bramie nie oddał? ja: bo go oficer nie żądał! Ta lakoniczna i żwawa rozmowa wprawiła nas w dyskurs prawdziwie przyjacielski. Minister przekonany o moim paszporcie, powiada mi, że jest na wsi i pyta mi się, co za cel mojej podróży? Opowiadam mu obszernie wypadki naszej rewolucyi, dodając, iż król i cała familia chciałaby w tych okolicznościach widzieć księcia Stanisława Poniatowskiego w kraju i t. d.; że w tym celu wysłany zostałem do księżnej Poniatowskiej do Pragi, aby mi na dalszą podróż wyrobiła paszport. Szczęście chciało, iż dobry minister wszystkiemu uwierzył i chę-

tnie się skłonił do wizowania paszportu na wyjazd z Pragi i dalszą podróż. Prosił oświadczyć księżnej jego uszanowanie i księciu Stanisławowi, który w tym czasie, dodał, ma się znajdować we Włoszech. Tam więc, rzekłem, muszę jechać! pożegnaliśmy się, kamerdyner z ministrem, w rzadkiej uprzejmości. Wyszedszy za próg cały radosny i wesół, zapowiedziałem natychmiast konie na poczcie, a tymczasem smaczną zjadłem kolacją, bom obiadu niemógł dokończyć. Przedsięwziąłem jednakowoż nocować jeszcze w Pradze, i nie widząc księżnej, prosto przez Bawaryą ruszać do Szwajcaryi. Tak też zrobielem. W bramie okazawszy wizę ministra, byłem zaraz wypuszczony, a gdy ten myślał, że się od niego księżnej kłaniam, jam szczęśliwie przez Bawaryą aż do Bregenz zajechał, z czułością zawsze patrząc

na dar ukochanego kanonika, za którego pomocą szybką odprawiałem podróż.

W Bregenz znowu mi los zagroził. Przestroga, jak mało trzeba fortunie i swój szczęśliwej gwiazdzie wierzyć! Tam była aż ku Renowi ostatnia straż austryacka z Kroatów, ludu najnieprzyjaźniejszego Francyi. Pułkownik komenderujący był równie Kroat. Posterunki na mój paszport nie zważając, zaprowadziły mnie do niego. Pułkownik Kroat wydawał się w mych oczach, co do postaci, jakby szczątek owych olbrzymich ludów; co do obyczaj, jak prawdziwy pierwotny Sarmata. Przyjął mnie po grubiańsku; ledwo odebrał paszport i nie czytając wizy ministra, krzyknął: że tylko do Pragi mógłem jechać, a teraz do Francuzów przez Szwajcaryą się przedzieram. Wtenczas przybrałem z nim ton śmiały,

który mnie zbawił, mówiąc: Wpan nie czytasz wizy ministra na dalszą podróż! Rozdrażniony Kroat i nieco pijany, zawołał: Wpan pójdiesz do aresztu! Ja na to, niespuściwszy z tonu: Możesz wpan czynić ze mną, co chcesz, ale mi pozwolisz wysłać kuryera do Pragi do ministra. Tu mój Sarmata jeszcze nie zwolniał, ale na szczęście młody jego adjutant, wzięwszy go na bok, czytał mu wizę ministra: „Sokół może wyjechać z Pragi i dalej, gdzie jego missya wymagać będzie“. Nieutulony w gniewie brutal pułkownik wrzasnął: Niechże idzie do diabła, ale ja przekonany jestem, że to jest szpieg francuzki! i odszedł. Grzeczniejszy adjutant prosił mnie, abym porywcość staremu pułkownikowi wybaczył i dodał mi żołnierza, który mnie aż do ostatnich kroackich posterunków ku Renowi przeprowadził. Tak się prze-

cie zakończyła ta ostatnia scena komedyi, która łatwo mogła się zamienić w Bregenz w nader smutną tragedję. Przejechałem mocne poczty Kroatów, braci naszych Słowaków. Rozmawiałem nawet z nimi, którzy mnie po większej części rozumiejąc, nadzwyczajną unosili się radością, że ich językiem mówiłem. „Wsio braty Polaki i Rusy!“ powtarzali. Ale téż to pokolenie prawdziwie wielkoludów. Niewiem, jak się z Niemcami, ludem wcale odmiennym, połączyć mogli!

Spieszyłem na brzeg Renu. Ta wspaniała rzeka, która w takim majestacie płynie pod Strasburgiem, Moguncją i t. d., tu blisko swego źródła, w szczupłym zamyka się korycie. Przebyłem ją na małym statku i na ziemi szwajcarskiej w kantonie st. Gall, stanąłem.

Nie wstyd mnie wyznać, iż padłem na kolana i zalany łzami dzie-

kowałem niebu, iż się już na wolnej znajduję ziemi. Zadziwionym Szwajcarom powiedziałem, iż jestem nie-szczęśliwy Polak, który utracił ojczyznę i z nią swobody, zagrożony utratą wolności, a może i życia, ocalonym się być widzę na świętej ziemi Tella.

Przebywszy brzeg Renu, zdawało mi się, iż się w ogrodzie znajduję; wszędzie drzewa rodzajne i murawy zielone. Godny to lud! Pracowitość, ochędóstwo, obyczajów prawdziwie patryarchalna jeszcze skromność! Wolność swoje wyżej nad życie każdy Szwajcar ceni, ale ją od rozpusty, swawoli i anarchii rozróżnić umie. Dowiedziałem się wkrótce, iż poseł francuzki od konwencyi, znajdował się w Basel i że za jego paszportem można było wjechać do Francyi.

Do niego się więc udałem. Sły-

szalem jeszcze w kraju pomiędzy naszymi demagogami, iż ten poseł Barthelemy, wziął imię Bartłomieja, iż na swych drzwiach napisał: „wnijdź kto chce“ i t. p. głupstwa. Opisałem to obszernie w dziele mojem o legionach, jeżeli nie zaginęło; (w istocie zaginęło).

Barthelemy, byłto dawny dyplomata, bardzo przystępny i grzeczny. Przyjął mnie z uprzejmością, okazywał czułość na los Polski; ale mi tego nie powiedział, o czém się później dowiedziałem w mieście, że już był zawarty traktat z królem pruskim, a nasza Polska swój nieszczęśliwej gwiazdzie oddaną została. Poszedłem do niego po paszport do Paryża, z oświadczeniem, iż tam się chcę widzieć z panem Barsem, który chociaż bez charakteru dyplomatycznego, miał niekiedy potajemnie interessa Polski konwencyi przekładać. Dał mi

paszport i nawet Barsa, jako utrzymującego interessa Polski w Paryżu, wyraził, co mi się wielce podobało. Powiadał mi o p. Potockim, staroście szczyrzyckim i o innych bawiących w Wenecyi; dodał: iż z panem Potockim był w korespondencyi. Zgoła język dyplomaty, był jeszcze językiem pociechy dla Polaka. Aże we wszystkim zdawało nam się widzieć promyk niejakiój nadziei, i w téj rozmowie, która w gruncie nic nie znaczyła, mamilem się pociecha.

Przyszedeł moment wyjazdu do Paryża, złączyłem się z panem Maruszewskim i razem jechać mieliśmy. Wszyscy nam radzili, aby złoto zamienić na assygnaty, owę sławną monetę republikańską. Nie pojnowałem się z radości, gdy mi w Bazylei dawano za jednego ludwika 700 franków w assygnatach. Maruszewski wszystko swój zapas złota z chciwo-

ścią zmienić; ja ostrożniejszy bardzo mało zmieniałem. Stałem w oberży pod „Trzema Królami,“ gospodarz zwinny, który niezmiernie zgromadził pieniądze na granicy, wszystko mnie nękał, abym więcej złota u niego zmienić. Im on więcej nalegał, tem ja w większe wpadałem podejrzenie. Skutek wkrótce pokazał, jaki szczęśliwy instynkt mną rządził. W pierwszym miasteczku franuzkiem, Bourglibre, gdy nasze assygnaty na komorze zweryfikowane i za dobre uznane zostały, spieszymy na pocztę; ale jakież przejście z radości do smutku, pocztmistrz rzucił nam pod nogi assygnaty, któremi płacić chcieliśmy i konie wyprządz kazał. Naprózno szukaliśmy wsparcia i sprawiedliwości u rządu, wszędzie się podnosiły głosy przeciw konwencyi i rewolucyi. Jednogłośnie mówiono: „koni i ludzi assygnatami żywić nie można, a

zboża za nie dawać nie chcą.“ Ten język rozciągnął się aż blisko Paryża, i ja mojem zachowaniem złotem wiozłem i żywilem mego towarzysza podróży; inaczéj musielibyśmy wrócić do Bazylei, i może za jednego ludwika dać 1000 franków. Niekiedy przecież Maruszewski tentował wydać swoje assygnaty; lecz szczególnie w Lunewillu, ledwo nam poczytliony w skórę nie dali i assygnatów nie podarli. Oddtąd ukrywaliśmy tę nie-szczęśliwą monetę.

Wieleby wypadalo pisać, do jak rozlicznych uwag podróz ta była nam osnową. Widzieliśmy oryginal tego obrazu wolności, którego nam tak fałszywą wystawiono kopią. Niesłyszeliśmy głosu, niech „żyje wolność“; wszędzie jęki, przekleństwa na rewolucyą do naszych uszu dochodziły. Mój kolega zwolniał z demokracji; było obywatel z Piotrkowa. Ja,

com zwykle powątpiewał, tu wcale wierzyć przestałem, aby kiedy w narodzie obszernym, zepsutym mógł być rząd gminowładny. W takich uwagach zbliżyliśmy się pod Paryż, ten Rzym w nowym świecie, który zlanym krwią swych Syllów i Maryuszów, zamyslał równie o panowaniu nad światem.

W Paryżu najpierwsze nasze odwiedziny były u pana Barsa; odtąd szło się drogą policyi: aż zaświadczenie bezpieczeństwa (*la carte de sureté*) otrzymaliśmy. Co przecież nam wróciło ducha, że nasza papierowa moneta wszędzie kurs miała; byliśmy zatem bogaci.

Nim do opisów niektórych szczegółów mego pobytu w Paryżu przystąpię, muszę tę ważną okoliczność wspomnieć, iż oddaliwszy się szczęśliwie z kraju, pisał do mnie przez umyślnego do Galicyi generał Górzeń-

ski, mój szczególny przyjaciel, abym wrócił do kraju, iż się niczego obawiać nie potrzebuje; nakoniec doniósł mi, że generał Dąbrowski w wielkich był łaskach u Suwarowa, że, gdyby chciał, byłby w tym samym stopniu przyjętym w wojsku rosyjskiem, ale że go dochodzi wieść, jakoby generał Dąbrowski przekładał służbę niemiecką i t. d. Na ten list, jak wspomniałem, mocno podziękowałem, iż już na ziemię ujarzmioną nie wrócę. Czas dowiódł, iż przeczucia moje były sprawiedliwe, iż obietnice Suwarowa nie były dotzymane, bo wszyscy, od Kościuszki zacząwszy, do Petersburga jako niewolnicy wywiezieni zostali; a wkrótce nawet sam król z tronu strącony został i do Petersburga wywieziony. O losy ludzkie! ta ręka, która mu koronę na głowę włożyła, ta sama mu ją zdjęła! Przez tego umyślnie przysłanego od

Górzeńskiego pisałem do Dąbrowskiego, zaklinając go, aby w żadną służbę obcą nie wchodził, że rozpaczać jeszcze nie wypada, że nakoniec patrzeć nam trzeba na wypadki rewolucyi francuzkiéj i t. d. Dąbrowski odebrawszy ten list, umyślnego do mnie przez Szwajcaryą do Paryża wysłał z zasiłkiem kilku set czerwonych złotych, dla ułożenia korespondencyi. Ten wysłaniec był oficer wielki demagog (nie wspomnę jego imienia), zawiódł jener. Dąbrowskiego, pieniądze w Szwajcaryi stracił i wróciwszy do Warszawy, ledwo że jenerała Dąbrowskiego na największe nie naraził niebezpieczeństwo. Znalazł przecież inny sposób Dąbrowski pisania do mnie, zaręczając, iż w żadną obcą służbę nie pójdzie i méj rady czekać będzie. Ta okoliczność jest ważna, gdyż początkiem się stała

legionów i późniejszej Dąbrowskiego sławy.

Od przyjazdu mego do Paryża skutki rewolucyjne takie wrażenie na moim umyśle zdziałały, że mi ich obrazy ciągle przed oczami stoją. Opiszę historia tę okropną epokę w dziejach świata. Zostałem jeszcze w konwencji i na urzędach szczątki tych krwawych, brudnych i ciemnych demagogów, niesłychane w rodzie ludzkim potwory! Przyjeżdżający do Paryża, stanąwszy w jakim hotelu, powinien się był niezwłocznie stawić w biurze policyi swego cyrkułu, dla złożenia swych papierów i otrzymania karty wolnego pobytu w Paryżu, którą zawsze przy sobie nosić wypadalo. Zaprowadził mnie więc gospodarz do téj magistratury; lecz jakże przerażony zostałem, dostrzegłszy na całej postaci tych urzędników ponurość i dzikość. A że zwyczajem

było, iż tylko *ty!* sobie mówiono, tak się więc do mnie tonem twardym prezydent odezwał: jak się nazywasz? Zmarszczył się, gdy mu powiedziałem: Wybicki! Dalej zapytał się: z kąd jestem? na to, gdy mu odpowiedziałem: z Warszawy! odezwał się z zadziwieniem, słowo Warszawa powtarzając: ale my takiego departamentu nie mamy! Ja na to: zapewne, obywatelu! bo Warszawa jest stolicą królestwa polskiego! Na co ten nędzny prezydent krzyknął: a twoje papiery?! Złożyłem paszport w Basel od pana Barthelemy otrzymany i dostałem kartę bezpieczeństwa. Ale co jeszcze uwagi godném, że gdy mój paszport oddałem, prezydent, czytać nie umiejąc, albo udając, oddał go drugiemu, mówiąc: Brutus, czytaj! Te wszystkie obrzydłe demagogi poprzybierali sobie imiona największych Rzymian. Ten był Kato,

ów Fabiusz i t. d., a chociaż który i umiał czytać, udawał, że nie umie, bo ta, niby gruba ciemnota, należała także do charakteru demokracji. To się zdaje do prawdy niepodobnym, jest przecie prawdą najczystsza! — Zgromadzaliśmy się zwykle w domu pana Bars, jako znanego Polaka u osób rządowych, i gorliwego. Tam zgromadzeni, opowiadaliśmy sobie takie i tym podobne anekdoty, zdrowe nasze zmysły przechodzące. Zaczęliśmy poznawać w doświadczeniu różnicę od wyobrażeń naszych początkowych o rewolucji francuskiej; lecz to rozwiązywało się łatwo, zważając, że ów początkowy związek rewolucji francuskiej miał zamiar najświętszy: przywrócenie wolności cywilnej i politycznej człowiekowi przy istniejącej władzy panującego, konstytucją ograniczoną; ale ten święty zamiar zniknął, gdy chucie, namiętno-

ści wzięły górę, gdy ludzie zbrodniami okryci, odsunęli obywateli cnotliwych i światłych od steru rządu, gdy intrygi, chciwość grabieży, a przy téj chciwość krwi niewinnej zarażone i zdemoralizowane opanowała serca. Wtenczas rozniosło się hasło: „Śmierć dla majątnych, spadek po niej tłuszczy łaknącej! Śmierć światłym i cnotliwym! a władza rządowa po nich w spadku dla ciemnego zabójczego motłochu!“

Moment mego przybycia do Paryża, téj okropnej zmiany stawiał obraz; owo czyste początkowe źródło zamulone było błotem. W konwencyi, na tém posiedzeniu obrad tak wielkiego narodu, zastałem jeszcze niektórych brudnych demagogów, siedzących na swych ławkach w szlafmycach, welniano - czerwonych. . . . Z nich to płynęły łez i krwi dla publiczności potoki!

— Utyskiwaliśmy na ten widok, my wygnańcy Polacy, i nieraz ja sam trzymałem z Bolinbruk: „że wolność jest stworzona dla człowieka, ale człowiek nie jest stworzony dla wolności.“ Na pierwszy rzut oka, zdaje się to być sofizma, ale w gruncie tak się to zdanie wyjaśnia: że namiętności, miotające zwykle człowiekiem, nie pozwalają mu dójść do téj doskonałości, która koniecznie prawdziwej wolności towarzyszyć powinna. Dla tego powiedział filozof: *neminem liberum nisi sapientem.*

— Coraz czarniejsze zbierały się rewolucyjne chmury, coraz nowe wypadły zaburzenia; zakrwawieni rewolucyoniści, Jakobinami zwani, wszelkiego porządku nieprzyjaciele, chcieli znieść całą postać jakiegokolwiek bądź rządu, bo tylko zamieszanie i anarchia stawiały im do nowego polowu nadzieję.

Przyszło nieraz do otwartéj wojny między rządem, a rozchukaną zgrają. Zabijali w saméj świątyni obrad, szły tłumy nawet kobiet pijanych, zapienionych rozpedzać konwencyą. Lecz zanadto się zapuszczam w opis tych scen ohydnych, wracam do mojej osoby. Stałem w hotelu duńskim; już od dni kilku gotowało się zabójcze szermierstwo; siedzieliśmy więc sobie cicho w naszych domach my Polacy. Wszystkie ulice zapchane były pijanym motłochem i bez narażenia życia, ukazać się nie było można. Nadszedł moment, gdzie społeczeństwo atakować domo posiedzeń reprezentantów i w nich rozpedzić chciało. Rząd w tém niebezpieczeństwie, wezwał wojsko ku swéj obronie; przyszło do bitwy po wszystkich ulicach między żołnierzem i ludem: a gdy ten napływ zgrai zbliżył się ku mojej ulicy, gospodarz

wściekły Jakobin, wpada do mojej stancyi i krzyczy: abym szedł na dół, bruk na dziedzińcu rozbierać pomógł, i dobyte kamienie na maszerujące wojsko rzucił. Odpowiedziałem słów kilka, że cudzoziemiec, że się mieszać do ich sprawy nie powinien; lecz rozjuszony gospodarz tak mi zagroził, że mi roztropność kazała zejść na dół. Jąłem się więc do rozbrukowania, i wzięwszy kilka małych kamieni, zręcznie z bramy wyszedłem. Sto razy śmierć stanęła mi w oczach, ale jak zawsze opatrność mnie strzegła, tak i w tym przypadku. Wpadam na oficera kommanderującego: ognia! i pomieszany wołam, iż jestem niewinny cudzoziemiec, Polak. Zawołano na żołnierzy: puszczajcie go! Tak jakoś w poboczną dostałem się ulicę, ku mieszkaniu Barsa dążąc; lecz znowu spostrzegłem zbliżający się do mnie motłoch, kobiety,

dzieci, mężczyźni z kamieniami i różną bronią przeciw żołnierzom. Jak się z téj powodzi do domu Barsa dostałem, ani opiszę, ani pamiętam, ręka mnie jakaś opiekuńcza wyprowadziła. Zgromadzeni u Barsa, zaczęliśmy na nasz los utyskiwać; ale z ojczyzny wygnani, w Poznaniu jako kryminalista na śmierć osądzony, z całego majątku konfiskatą wyzuty, nie mogłem, jak tylko pójść za potokiem przeznaczenia.

Najpierwszy z Polaków Turski, wzięwszy podług ducha czasu nazwisko „Albert Sarmat“, miał mowę przy kratkach w konwencji, wystawiającą obraz nieszczęśliwej Polski. Został wysłuchany i otrzymał od prezydenta pocałowanie braterskie. „Zaszczyt w owych czasach największy“. Wreście wszyscy z oświećszych, którzy się w rewolucyi pozostali, czynili nadzieję i do cierpliwości za-

chęcali. Jakoż, gdy nowy porządek w rzeczach nastął, i dyrektoryat, jako władza wykonawcza, był ustanowiony, nadzieje nasze na pewniejszych zasadach gruntować się zaczęły.

Ja się szczególnie oddałem bibliotece narodowej, zapewne z swego zbioru, najslawniejszej w Europie. Cały poranek w niej czytałem, ile, że szanowny mój przyjaciel, bibliotekarz jeneralny, pan Vanprat, mąż nadzwyczajnych wiadomości, do mnie się przywiązał i wszelkich książek, nawet i do domu mi udzielał. On mnie poznał, z dawnym professorem akademii panem Selis, który pewne mi do konwersacyi wyznaczył godziny. Te dwie czynności pozwoliły mi wiele innych i mojej reputacyi w Paryżu założyć fundament. Moje imię doszło do niektórych członków dyrektoryatu. Vanprat i Selis zachęcali

mnie podawać noty, względem exystencyi Polski. Pisałem więc wiele w téj mierze; aże pomiędzy Polakami bawiącymi w Paryżu za najświetlejszego uważałem jw. Józefa Wielohorskiego, jenerała, z tym więc najmocniej się złączyłem. Wielohorski tak łatwo i tak pięknie pisał po francuzku, iż rzadki był Francuz, mogący mu w tem wyrównać. On więc moje pisma polityczne albo poprawiał, albo całkiem przekładał.

Czasu jednego wezwany zostałem od prezydenta (dyrektoryatu); w sekrecie powiedział mi: iż dyrektoryat powierza mi w zupełnem zaufaniu wszelkie korespondencye polskie i rossyjskie, pocztą przychodzące, do przejrzenia, abym o nich wierny zdawał raport. Nie trafiła ta propozycya do mego serca; przyjąć przecież z wielu względów musiałem, i uleż władzy, pod którą stałem; ile, że na przypadek jakiej

korrespondencyi podejrzanej, miałbym przecież sposób (gdyby nie szło o zdradę kraju), osobę przestrzedz.

Takie zaufanie rządu, ośmieliło mnie do częstego przedstawiania interesów mojej ojczyzny, już z karty politycznej wymazanej. Mówiłem o niebezpiecznej polityce rossyjskiej na ruinach Polski wzrosłej. Takie moje uwagi przyjmowano ciekawie i różne pytania czyniono. Zachęcano do pism i ich drukowania. Między innemi dziełkami wydałem w tym czasie list: „niby to Kościuszki z więzienia do dyrektoryatu pisany.“ Znalazł powszechną aprobacją; żałuję mocno, że go dotąd w mych papierach znaleźć nie mogę. Tak wiele ciekawych rzeczy w téj ustawicznej włóczędze utracilem. W krótkce dostrzegłem, będąc w takiej zażyłości z osobami rządzącemi, iż każdy z nich czuł potrzebę exystencyi Polski;

lecz téj przywrócić nie było jeszcze w mocy Francyi. Wynikły, mówiono, nowe stósunki polityczne z obcemi dworami, których Francya dla własnego interessu obrażać nie może.

Wreście powiedział mi jeden z nich poufale: wszystkie interessa wewnętrzne i cały kierunek wojen, jest na teraz w ręku jenerała kommanderującego we Włoszech, Napoleona Bonapartego.

Tymczasem przybywało do Paryża coraz więcej wygnańców. Wszystkich zamiary były patryotyczne, ale wszystkich pojęcia nie były równe. Byli tacy, którzy w tym błędnym zostawali przesądzie, iż Francya ruszy zaraz z swoją całą siłą przeciw Rosyi, Austryi i Prusom, na dźwignienie Polski. Był to rodzaj zawrotu głowy, przy najepszém sercu.

Zaciągnę zaslone na wiele scen gorszących; to tylko wspomnę, iż

dwie zaczęły się partye formować. Wspomnienie to, jeszcze dotąd rozdziera me serce.

Przybył Karól Prozor, były oboźny litewski, który nadzwyczajnie wiele dla ojczyzny ucierpiał, a który do prawdziwego patryotyzmu wiele światła i zimnej rozwagi łączył. Z tym szanownym mężem, jak najściślej łączyła nas przyjaźń, jemu więc, jako i jenerałowi Wielhorskiemu i Barsowi, związki moje z dyrektoryatem szczególnie udzielałem. Z żalem patrzeliśmy na tych demagogów polskich zapędy, na których czele stał kasztelan Mniewski, przeciw którego patryotyzmowi nie mówić nie mogę. Był on marszałkiem powstania kujawskiego, wiele się do sprawy publicznej przyłożył i wiele dla niej ucierpiał; ale od momentu wkroczenia jenerała Dąbrowskiego do

Wielkiej Polski, powziął niechęć ku niemu i ztąd do Paryża przyjechał.

Jenerał Dąbrowski był prawda łatwy do obrażenia Mniewskiego, jako marszałka powstania kujawskiego, gdyż wychowany w szkole żołnierskiej w Saxonii, nie umiał dość obywatelskiego ducha cenić; ale Mniewski powinien mu to był darować, dla miłości ojczyzny.

Mniewski nie ukojony na Dąbrowskiego i na mnie, jako jego przyjaciela, całą złość swoją wylewał. Przyszło do tego, iż cała partya Mniewskiego nazywała w posiedzeniach swoich Dąbrowskiego Niemcem, a mnie Dąbrowskim,

Przecież Mniewski nie byłby się do takich nieprzyzwoitości unosił, bo w gruncie był dobry Polak, gdyby go ci, których on żywił, bo miał pieniądze, na te bezdroża nie byli wprowadzili. Pierwszy z takich je-

go konsyliarzy był ksiądz D . . . ,
expijar, w szkole księdza Kollon-
taja wychowany, który nieszezęściem
do obszernych swoich wiadomości,
pewnego nie przyłączył charakteru.
Ksiądz D . . . , wszystkie moje pis-
ma z wielkiem zgorszeniem Francu-
zów drukiem krytykował, a doszedł-
szy intrygą przez mego przyjaciela,
professora Selis (o którym wspomnia-
łem), w jakim zostaje związku z o-
sobami rządzącymi i jakie im podaje
projekta, zwołał jakoby na gwałt ca-
łą swoją radę pod prezesostwem
Mniewskiego, i na niej głos zabrawszy,
dowodził, że im się trzeba wszyst-
kim udać do dyrektoryatu i tam u
kratek mieć mowę. Powszechny o-
klask zatwierdził plód dowcipu księdza
D . . . , szło tylko o to, przez jaki
kanał dójść do kratek i wolność glo-
su otrzymać. Mniewski ofiarował
się dać w tym celu huczny obiad

dla niektórych pasibrzuchów deputowanych. Jakoż ci przyrzekli, że ksiądz D... tego a tego dnia może stanąć u kratek, a głos mu dozwolonym będzie.

Doniósł mi o tych ważnych układach Mniewskiego Prozor, którego i tamta strona do siebie wabiła. Zakląłem go, aby na téj scenie nie był, bo się smutnie zakończy, o ile się dorozumiewam. Usłuchał mnie Prozor, ale ks. D....., otoczony licznym orszakiem, jak nazywał patryotów prawdziwych, skoro u kratek stanął, powszechny powstał krzyk, aby milczał i od kratek odszedł. Nastąpiła więc nieprzyjemna rejterada Polaków. Bolałem nad tém bardzo, i nawet nie bez narażenia się wyrzucałem tym ichmościom, iż skompromitowali naszą sprawę, iż ks. D....., tak uczony człowiek, powinien był wyrachować, że to już inne czasy, jak kiedy Al-

bert Sarmata do konwencyi, z jakobi-
nów złożonej, mówił i pocałowanie
braterskie otrzymał. Mowę tę księdz
D.... mam w swych papierach; jest
w niej rzecz źle i opacznie wysta-
wiona. Co do mnie, idąc zawsze
drogą roztropności, nie pytałem się
o partye, bo nie byłem, tylko z mo-
ją ojczyzną; a mając zawsze w pa-
mięci, com słyszał od osób rzado-
wych, że wszystkie interessa wojenne
są w ręku Bonapartego, przedsta-
wiałem ciągle janerałowi Wielohorskiemu
i innym równie myślącym, abyśmy
jaką drogą do niego trafić mogli.
A gdy różni oficerowie polscy z wszy-
stkich stron do Paryża przybywający,
opowiadali mi, jak wiele znajduje się
żołnierzy, Polaków, szczególnie z Ga-
licyi po fortecach i pruskich jeńcami,
wpadłem na tę myśl szczęśliwą, czy-
by nie można, otrzymawszy dla nich
wolność, zrobić z nich jaki korpus

żołnierza polskiego, któryby pod komendą jenerała, rodaka, mógł być do armii Bonapartego przyłączony. Tę myśl wyrobiłem zaraz w sposób noty do dyrektoryatu i komunikowałem ją Wielohorskiemu i prozorowi.

Przyjęto projekt z jak największym uniesieniem, i Wielohorski przełożył go natychmiast na język francuzki. Ja i Bars wzięliśmy obowiązek, jak najbardziej popierać projekt ten w dyrektoryacie, który, skoro go doszedł, bardzo dobrze przyjętym został. Ale wkrótce ja sam zapytany zostałem, którego jenerała z Polaków możnaby postawić na czele tego formować się mającego korpusu. Odpowiedziałem, że jenerała Wielhorskiego, bo sobie od początku tego życzył i był zdatny. Dyrektoryat przecież zamilczał i tego mego podania nie zatwierdził, z jakich powodów, niewiem.

W tém przybył do Paryża jenerał Zajączek, którego szanowna żona z więzienia wydobyła austryackiego. Skoro się ze mną zobaczył, udzieliłem mu zaraz mój projekt; pochwalił go, a ja go natychmiast podałem dyrektoryatowi, jako wielce zdatnego do prowadzenia tego korpusu. Ale dyrektoryat i tu jeszcze swój woli nie objawił. — W tym stanie rzeczy przyjeżdża do Paryża jenerał Dąbrowski, którego się nigdy nie spodziewałem, gdyż wszelka komunikacya między nami była przecięta. Był on, wyjechawszy z Warszawy, w Berlinie, i jak mi powiadał, ofiarował mu król pruski rangę jenerała-lieutenanta; on zaś odpowiedział: iż tylko wtenczas przyjmie tę rangę, jeżeli się król pruski królem polskim deklaruować będzie; czego uczynić, z widoków politycznych król okazał niepodobność, a tymczasem Dąbrowski,

dostrzegłszy, iż go policya śledzi wyniósł się potajemnie z Berlina ku Renowi; tam, gdy trafił na komendę generała Kleber, owego sławnego wojownika, który potem w Egipcie został zabitym; znając się z nim dawniej, opowiedział mu swoje zamiary, iż szukać chce w Francyi służby dla ratowania swój ojczyzny. Jenerał Kleber jak najgrzeczniej go przyjął i z nim się rozłączył; dał mu wielce zalecające listy do Dyrektoryatu i wiele innych pochlebnych listów do rozmaitych osób w Paryżu.

Przybywszy Dąbrowski do Paryża, najpierw się starał ze mną zobaczyć i powiedział, że, idąc za moją radą, w żadną obcą służbę nie wszedł i że tu chce doświadczyć, czyby czego dla kraju nie można zrobić. Wystawiłem mu cały stan rzeczy, szczególnie, że projekt mój względem uformowania korpusu polskiego dyrek-

toryat dobrze przyjął; pozostało jeszcze tylko do decyzji, któryby generał, Polak, miał nim dowodzić, gdyż ci, których dotąd proponowałem, nie zostali przyjęci. Przypadł do serca Dąbrowskiemu ten projekt i odpowiedział: iż na rekomendacją Klebera ufa, że jemu dyrektoryat wykonanie tego powierzy.

Jakoż, gdy sam odniósł listy od Klebera do dyrektoryatu i my ponowiliśmy za nim proźby i przedstawienia, odpowiedział dyrektoryat Dąbrowskiemu, iż mu da w tej mierze listy do generała Bonaparte, aby on, jeżeli mu się to zdaje, pozwolił Dąbrowskiemu formować korpus polski z jeńców Polaków złożony. — Nigdy nie byłem szczęśliwszy, jak gdy tę odpowiedź dyrektoryatu Dąbrowski mi komunikował. Prócz może jakiejś tajnej pojedynczej zazdrości, radość między nami była powszechna; smu-

cilo nas tylko to, że ani Dąbrowski, ani my, nie mieliśmy na tę podróż pieniędzy; ubóstwo było powszechne. Lecz w tém szczęśliwa gwiazda generała Dąbrowskiego chciała, iż przybył do Paryża kapitan Zablocki (w rewolucyi 1794. już był majorem i adjutantem Dąbrowskiego), później jego adjutant, i przywiózł dla mnie od generała Dziewanowskiego tysiąc czerwonych złotych. Szanowny ten obywatel zaszczycał mnie od dawna swoją szczególną przyjaźnią; cały zaś był gotów oddać majątek na dobro kraju: jakoż po większej części złożył go na oltarzu ojczyzny, okryty ranami w szeregach ojczystych; — niewiem, czy mu się kraj przyzwocie wywiązał. Te słów kilka w hołdzie tak szanownemu mężowi złożywszy, wracając do rzeczy, zwołuję obrady i jak owym łaknącym chleba pokazuję dukaty. Zapłaciwszy z nich

dług pocziwemu restauratorowi, który mnie na borg żywił, resztę między Dąbrowskiego, Wielhorskiego i Barsa podzieliłem. Przybył także jenerał Wojczyński, z swego czystego patryotyzmu i obszernego światła znakomity; ten się sam ofiarował towarzyszyć jenerałowi Dąbrowskiemu. Szczególnie przecież do téj tak ważnej wyprawy, starałem się nakłonić jenerała Wielhorskiego, jako nade wszystko do wszelkich mów w obcym języku zdatnego. Tak więc, gdy już wszystko było gotowe do wyjazdu Dąbrowskiego, jenerał Zajacek wyzwał go na pojedynek, a to za obrazę honoru, której się Dąbrowski w dziełku swoim niemieckim miał dopuścić przeciw niemu (zobacz wyżej).

Nowy smutek. — Przełożyło się przecież Dąbrowskiemu, że gdy już jest w missyi do Włoch od rządu prze-

znaczonym, pojedynek ten do ukończenia tój missyi odłożyć musi.

Zajączek przestał na tój eksplikacyi, bo i tak zapewne tylko poduszczony, ten krok pomimowolnie zrobił. Gdy się już ta zawada usunęła, generał Dąbrowski szczęśliwie do Włoch do Bonapartego pojechał. — Umówiliśmy między sobą korespondencyą listowną, gdyż ja w Paryżu pozostałem.

Otóż tu zaród tych sławnych legii, o których pewno dzieje świata nie zapomną! Wyłożyłem szczerą ich historya, że ja do ich związków najwięcej się przyłożyłem. — Mało mi w tém współcześni oddali sprawiedliwości, ale moje hasło jest tylko: *ut sit bene patriae!*

103

Tu się kończą pamiętniki Józefa Wybickiego o tyle, o ile się wieku XVIII. tyczą. Czcigodny przecież ten mąż napisał drugą onych część, dotyczącą wypadków z roku 1806—9., którą, lubo ona wychodzi z zakresu, jaki sobie w wydaniu zbioru niniejszego zamierzylem, w dodatku przecież i jakoby przypisek, do tego dzieła umieszczam

Ed. Raczyński.

D O D A T E K

do Pamiętników Józefa Wybickiego.

Od d. 5. Maja r. 1802., jak wspomniałem wyżej, bawiąc z mymi ukończanymi synami lat dwa w Wrocławiu, czulem potrzebę wyprowadzenia ich dalej na świat i otwarcia im obszerniejszego pola do poznania ludzi i nabycia wiadomości, gdy te, które im to miasto nastęrczać mogło, zdały mi się być, przy ich nadzwyczajnej pilności, wyczerpane.

Ale do uzupełnienia takowych zamiarów przez serce ojca wrażonych, wypadło mi uzyskać wolność wyjścia z Wrocławia od jwgo. ministra

Hojm, pod którego policyjny dozór przez króla reskrypt oddany byłem. Roztropność wreszcie kazała chronić się wszelkiego podejrzenia, w które mógłbym wpaść na nowo u rządu i los méj familii pogorszyć, gdybym samowolnie w obce był się przeniósł kraje. Względem ujścia obrazy monarchy, a osobliwie w czasach rewolucyjnych, niedość można być ostrożnym!

Przełożyłem więc moje prawdziwe zamysły ministrowi Hojm i o wolność zwiedzenia Ślązka i udania się ztamtąd do Drezna prosiłem, który, miło mi powtarzać, na urządzie ministra, rządzącego Ślązkiem, zachował serce człowieka czulego, i jak żądałem, paszport do wyjazdu 18. Sierpnia r. 1804. nam wydał.

Nie zostawało mi, jak tylko o tych nowego podróżowania zamiarach, uwiadomić szanowną i cnotliwą żonę

i matkę, zapewniwszy sobie z sławnym księgarzem Kornem korespondencyą; ruszyłem z moimi synami zupełnie w postaci wędrowników literackich, pieszo! Każdy był opatrzony małym mantelzakiem, w którym materyały piśmienne, niektóre książki, tudzież krzesiwko i kwasy saletrzane, do doświadczeń mineralogicznych potrzebne, znajdowały się. Rzeczy naszych resztę bardzo skromnych przesłałem furmanem do Drezna. Sami pod górę Kalemberg pojechawszy, odtąd wzięwszy wiadomego drogi przez góry zwane Olbrzymie (Riesengebirge), od Ślązka do Saxonii pieszo się puściliśmy z powodu wyboczeń, jakie się robiły sto mil blisko. Przewodnik ten ugodzony niósł razem na sobie nasze bielizny. Podróż sama była szkołą bardzo użyteczną! Niemasz mém zdaniem dla młodego szkoły, jak podróż piesza, w której

pod oczy podpadające mu wystawiają się kraje i elementarne, iż powiem, dają się lekcye jeografii, w której zwolna postępując, wskazuje się różność obyczajów, różność kultury i t. d. Że zaś szczególne powziąłem przywiązanie do mineralogii, będąc w szkole sławnych dwóch twórców téj umiejętności, w Paryżu pana Hauy, w Frejbergu pana Werner, udzielać im téj wiadomości, ile mógłem w téj podróży mineralogicznej, starałem się. Ta nauka wzbudziła w nich chęć poznania każdego kamienia; szli z sobą w zawody i t. d.; wreszcie w ogóle dawałem im początki historyi naturalnej. O czém później obszerniej, teraz spieszę się do zamiaru podróży; powiem, iż Drezno zdawna mi znane, osądziłem za miejsce bardzo przyzwolite dla początkowej edukacyi młodzieży. Zdało się, powiedziałbym, w mych czasach, że to miasto w téj powodzi

powszechnej zepsutych obyczajów, bądź przez skłonność wrodzoną mieszkańca do moralności, bądź przez przykład religijny króla i jego rodziny, zasłonięte było od powszechnej zarazy wieku, od zarazy ateizmu, rozpusty i swawoli. Miasto, lubo handlowe, było bez zgiełku; mieszkańcy w niem, mimo dobrą swą mienność, bez zbytku i dumnej okazałości! — Przedmioty rozkoszy, jeżeli jakie znaleźć się mogły, pod strażą obyczajów, bezwstydnego czoła śmiało podnieść nie mogły.

Jezeli w takiej zaciszy prawie co do obyczajów, osadzić pod mém okiem synów mych umyśliłem; równie co do nabycia różnych wiadomości, miejsce to dla nich wielce dogodnie znalazłem. Co bowiem Paryż w mym czasie, co do sztuk pięknych i nabycia różnych umiejętności, był, powiem, do całego świata; to Drezno w tym

względnie do reszty Europy, prócz Paryża było. Znalazłem tam instytut rządowy, bezpłatny, dla doskonalenia się krajowców w różnych wyzwolonych sztukach; udałem się zatem do j. w. Marcolini, jako prezesa tego zakładu, i przez szczególne jego dozwolenie, synowie moi, choć cudzoziemcy, do téj szkoły przypuszczeni zostali. Był to zysk wielki dla mnie nieszczęśliwego ojca, który będąc bez sposobów czynienia wielkich nakładów, znalazłem bez opłaty nauczycieli, których znalazłem powszechnie czułych na losy moje; zresztą mych synów powolność, pilność i moralność, ujęły sobie wszystkich umysły. Ciągłe kosztowałem rozkoszy z pochwał im dawanych; w wystawianych rysunkach corocznie przed oblicze króla, które zwiedzał, miały swój szacunek rysunki Wybickich.

Cały przejęty tą prawdą, że języki są kluczem do wszystkich wiadomości; że przez te tłómaczymy nasze myśli, że przez te odkrywamy i zyskujemy wszystkie skarby pisarzy; szczególniejsze zatém zwróciłem już od Wrocławia starunki, żeby synowie moi w językach różnych postępować mogli i na to żadnych nie oszczędzałem wydatków, i o potrzebie téj nauki nieustanne od Wrocławia czynilem im przełożenia. Wziąłem im zatém nauczycieli do języka francuzkiego, niemieckiego i łacińskiego. Wyszukałem co było najdoskońszszego dla kończenia nauk matematyki, i prośbą raczój jak nagrodą, zobowiązałem sobie sławnego inżyniera, kapitana Leman, iż ten głęboko uczony, jak własne dzieci pokochał mych synów, i chciałby w nich wlać wszystkie swe wiadomości. Wybrałem im godziny fechtowania,

tańca, jeżdżenia na koniu i muzyki. Godziny ich wolne od wychodzenia z domu, szczególnież wieczory, tak jak w Wrocławiu, poświęcone były częściami jeografii, dziejom obcym i narodowym, historyi naturalnej i nauce moralnej; w tém byłem ja sam nauczycielem, nie żyjąc tylko dla nich, pracowałem całodziennie na zebrania i ułatwienie im nauki, mieszkając i żyjąc zawsze z nimi, żaden moment nie był stracony. Pisałiśmy listy dla nabycia stylu i sposobu tłómaczenia swych myśli, rozmawialiśmy o różnych umiejętnościach i sztukach, przebiegaliśmy życia sławnych ludzi, którzy się cnotą w prywatném i polityczném życiu nad innych wynieśli, postrzegłem z najczulszą rozkoszą duszy, że te przykłady, lube na ich umyśle czyniły wrażenia.

Tak karmiąc duszę, ciało nasze na post prawdziwie ścisły skazane zostało. — Zgodziwszy pomieszkanie u jednego z przekupniów legumin, ugodziłem zaraz i stół dla nas trzech u niego, odmawiając sobie wszystkiego, aby mieć fundusz na nauczycieli i potrzeby mych synów; przystałem na mizerne jadło, aby tylko nie drogie. Za trzy złote polskie zgodziłem obiad na trzy osoby bez chleba i napoju, którym była woda. Dosyć sobie wystawić, co mógł być za obiad za te pieniądze w Dreźnie i jeszcze w czasie drogości! Dokarmiłem synów owocami, które bardzo lubili, a sam zalawszy się nieraz łzami, nasyciłem się rozkoszą z dopełnienia obowiązków ojca i oddaniem się zupełnie woli przeznaczenia mego opatrzuości!

Zapomnieć nie mogę, iż raz, będąc u księżnej Czartoryskiej z domu

księżnej Jabłonowskiej z mymi synami, zastałem u niej hrabinę Moszczeńską. Wszczął się między nami dyskurs o drogości i niedostatku, z uśmiechem przerwałem pań tych żale, iż księżna widzi mnie z synami czerstwego i bez oznaki głodu i niedostatku, a przecież jemy obiad za groszy 12 saskich... Jak to, jak to, wrzasła, obiad na trzech!?!... Pomyślałem sobie, zbytek nie pojmuje skromności życia, ani czuć może rozkoszy, jaką uzyskuje dusza, co nad zmysłami panuje!

Mimo ten niedostatek upływały godziny moje w tój spokojności duszy, jakiej tylko ten doświadczać może, kto mężnie pokonywa przeciwność i z stałością dopełnia swoich obowiązków. Ukochanych synów w tym wieku rozwiązłości, nadzwyczajna moralność, niezmordowana chęć do nabycia światła i powolność w dopełnianiu woli

ojcowskiej, i stanowiły zupełną moje szczęśliwość; a jeżeli kiedy w po-
życiu z nimi zasępiło się me czoło,
to z żalu na naturę, że im łatwość
pojęcia i pamięci do tego, co pojęli,
odmówiła. Syn mój szczególnie star-
szy, niez mordowaną pracą szedł z na-
turą w zapasy, chciał sobie samemu
być winien, co mu ona odmówiła.
Jeżeli w Wrocławiu, bardziej jeszcze
w Dreźnie musiałem czuwać, aby spać
poszedł. W tém tylko nieposłuszeń-
stwa dawał mi często znaki, że na
kilkakrotne moje wołanie, już, już,
w noc nieraz późną pracować nie
przestawał; a że od mojej izby do ich
pokoiku sypialnego było w drzwiach
okno, syn mój ukochany brał się do
podstępu: czém tylko zdołał, zasła-
niał to okno, żebym ja światła od
świecy nie dojrzał i jego pracy nie
przerwał, t. j., do spoczynku nie
przymusił.

O szczęśliwy ojciec, nieraz pomyślałem rozrzewniony, przed którym syn nie zbrodni jakiej, ale chwalebnej cnoty szuka zataić namiętność.

Z takiego względu przedłużałem mu często jego godziny szczęśliwe, własną bezsennością, bom zawsze czuwał, żeby nie zapadł na zdrowiu, lub z gorejącą świecą uspiony, papierów i książek około siebie leżących nie zapalił. Nakoniec nieraz czuwaniem strudzony, niby szturmem dobywszy jego komnaty, albo pracującego gwałtem do spoczynku przymusić musiałem, albo zdrzymanego przy dogorywającej świecy znalazłszy, na łóżko położywszy, światło uniósłem.

Nauczyciele wszyscy zastanawiali się nad postępami nagłemi w naukach ukochanych mych synów. Bardziej jeszcze zadziwiała wszystkich taka w młodych moralność. Ja ojciec szczęśliwy przeglądałem dla nich

w każdym stanie rzeczy politycznych pomyślność, która jedynie całą moję zajmowała istność.

Syn mój starszy, który był szczególnie niemiecki język polubił, tak w nim postępował, iż go już za rodowitego brano Sasa. Ja ich zawsze do języka francuzkiego nękałem i w nim znacznie postąpił. Miałem dwóch nauczycieli francuzkich, z których jednego godziny drogo opłacałem.

Leman i Sazler co do matematyki nauczyciele chelpili się z swoich uczni, rysunki ich wystawione corocznie, jak był zwyczaj na widok publiczny, powszechną otrzymały pochwałę. Do muzyki brakło obydwom na jeniuszu.

Drezno prócz łatwości mienia dobrych nauczycieli, zawiera w sobie wiele sposobności materyalnych dla nauki młodego, galerya obrazów jest

zapewnie dziś po paryzkiej najpierwsza w Europie. Z szkoły włoskiej, francuzkiej, niemieckiej, znajdują się oryginały przedziwne, lubo mniej dobrze, jak w Włoszech i Paryżu utrzymywane. Cierpiała wiele ta galerya, wspaniałości i zbytku Augustów dzieło, przez częste wywożenie sławnych obrazów do fortecy Koenigsztein, na najpierwsze pozory wojny; wreście dozorca téj galeryi miał mieć jakiś pokost, którym podobno chcąc odświeżyć niekiedy malarstwa, kazil rysy i kolory pędzla.

Nadzwyczajne uczucia i poruszenia postrzegłem w mych synach, gdy ich raz pierwszy do téj sztuk świątyni wprowadziłem. Mając już wyobrażenia rysunków, do których mieli dosyć jenuuszu, wpadli prawdziwie w zachwycenie, na widok niby ożywionych pędzlem osób. Ja, że w Paryżu nabyłem nieco w téj mierze wia-

domości, udzieliłem ją im z zapalem, ile zdołać mógłem.

Zaszczepiło to w nich smak do rysunku, i znaczne w nim pokazali z czasem postępy, na co żadnych nie szczydziłem wydatków.

Sala starożytnych posągów lubo ledwie cieniem nazwać się mogła w tym przedmiocie do sali paryzkiej, wielką była przecie ciekawością i nauką dla człowieka, który nic podobnego w tym rodzaju sztuki nie widział, najmocniej przecie ucześnieczali moi synowie do zbioru ulanych z gipsu posągów, z wizerunku starożytnych. Tam widziałem, jak nabywali smaku i nie chcieli się dać wyprzedzić w pracy współuczniom, gdzie z przepisu instytutu, pod dozorem pewnego nauczyciela brać wzory z starożytności musieli.

Umiejętność mineralogii i zoologii, że była jedna z mych najulubieńszych

umiejętności, której pod tak sławnym, jak mówiłem nauczycielem Hauy w Paryżu, powziąłem początki, przeto zbiór drogi w téj części historyi naturalnej w Dreźnie, pod dozorem pana Tyciusz, był moim najulubieńszym przedmiotem, i tam często mych synów wprowadzałem. Usposobiałem ich domowemi lekcyami, do téj tak drogiej ciekawość, do której wielką okazali wiadomość, i przyjemne sercu memu w niej czynili postępy.

Jeżeli nieśmiertelny Hauy, łączący z najgłębszą wiadomością fizyki i mineralogii najslodsza przyjemność w nauce i obcowaniu, był nowój metody w mineralogii twórcą w Francyi; miała i Saksonia pana Wenera, który téj umiejętności nowe i pewne dał zasady. Mieszkał w Freibergu, gdzie szkoła mineralogii i chemii etc. Poszedłem z synami poznać tak sławnego w świecie uczonym męża,

znalazłem go nad spodziewanie uprzejmym i łatwym. Wielce mu się podobaly moja troskliwość i starania ojcowskie; uprzedzał wszystkie moje pytania, i w czasie mego tam pobytu, cały swój zbiór kosztowny drogich kamieni i kruszców pokazał. Zwykle rzucają potwarz na niemiec-
kich uczonych, że do swój nauki głębokiéj, posępny łączą pedantyzm; niemiał go wcale otwarty, przyjemny Werner; mówił zemną o swym rywalu Hauy, z wielkim szacunkiem, lubo w systematach swoich byli różni. Nowy miałem dowód w téj mierze, że z prawdziwie głęboką nauką i filozofią, łączy się skromność. Późniéj, ile razy bywał Werner w Dreznie, zemną starał się widzieć. Zasięgałem zawsze od niego światła w umiejętności, do którój się coraz bardziéj przywiązywałem. Nic mnie atoli nie zadziwiało bardziéj, jak skromność

w jego odpowiedziach, mówiłby kto, że nie był pewnym swego zdania, tak je na każde zapytania ten wielki człowiek dawał z zająkaniem, powiem z niepewnością; przecież ile słów, tyle prawd niezaprzeczonych.

Prócz poznania pana Werner, podróżą mej celem jeszcze było zwiedzić wszystkie miny z synami i nawet dla ich nauki spuścić się w głąb kopalń. Dreszcz mnie dotąd przechodzi, gdy sobie na tę podziemną podróż wspomnę. Ale mnie powszechnie nie wstrzymać nie mogło, gdy szło o rozprzestrzenienie światła mych synów. Postanowiłem spuścić się w najgłębszą minę srebra w Frejbergu i przebrani w ubiór górnicki, razem trzech, przy pomocy śmierdzącej lampki na piersiach zawieszonój, schodziliśmy po drabkach w głąb prawdziwie przepaści! Drabeczki te wążkie do

skal przyczepione, ślizgie od wilgoci i zawsze z góry sączącej się wody ustawicznego niebezpieczeństwa stawiały mi obraz, czulem, co to jest serce ojca! Spokojnie jednak napominałem synów, żeby postępowali ostrożnie; starszy prawdziwie na niebezpieczeństwa stworzony, silny, nie tyle co młodszy czynił mi niespokojności. Obaczyliśmy wszystko, sposób dobywania miny, idąc zawsze za żyłą, którą się kruszec ciągnie, przejrzawszy niezmierne maszyny wypędzające wody i kruszce w górę. (Jedno koło wodne, 20 łokci dyamentu, obok tego po drabeczce wychodzić nam z miny przypadło). Musiałem zebrać wszystkie siły duszy na ten widok. Woda od koła zalewała nam oczy i lała się strumieniem po drabinie. Posłałem starszego naprzód, za nim młodszego, ja na końcu drapałem się w górę z umyśloną spokojnością, za-

pewniając ich, aby się nie lękali i z ostrożnością trzymali się szczeblów.

Z tych antypodów mefitycznych ujrzawszy się wydobytym, nie pojęte czułem wrażenie, które na mnie sprawiło światło. Poprzysiągłem więc nie wchodzić w to prawdziwie Plutona mieszkanie. Dyrektor min, najslodszy człowiek, widział mnie tak bladego i zmieszanego, jak kiedy się kto z rąk śmierci wykradnie! Powiedziałem mu, odetchnawszy, iż zapomniałem o sobie, ale serce ojca wystawiało mi niebezpieczeństwo synów! Przyjąłem z wdzięcznością od niego dobrą porcją araku, który stał mi się kordyalem.

Przyszedłszy do siebie, kończyliśmy podróżę, ale po powierzchni ziemi, oglądając różne maszyny, tłukące, czyszczące kruszce i t. d. Zatopiony w myślach rozważałem, jak głęboko w wnętrznościach ziemi ukryła przed człowiekiem natura te zmyślane bo-

gactwa! Trzeba było całej jego pasy chciwości, aby poszedł w zapasy z twardym granitem, a szukając w jego łonie zdobyczy, wszystkiemi trudnościami i nawet śmiercią pogardził. Taż sama namiętność, mówiłem do synów, rzuciła na odchłań morza pierwszego żeglarza!

W czasie naszej podróży po okolicach min saskich, które, jak wszystkie, pieszo odbywaliśmy, synowie moi z chciwością zbierali różnych kruszców reszty, a szczególnie agatów i inne krzemiennęj natury kamienie, aż wreszcie, obładowani temi mineralogii łupami, musieli je znowu nie bez żalu porzucać, do czego miałem trudność ich skłonić. Porzucwszy te okolice, przebiegaliśmy nie bez ukontentowania i korzyści położenia różne kraju, szczególnie tak nazwaną Szwajcaryą saską. — Tam natura w różnych odmienia się obra-

zach! oko bezprzestannie na inny do zachwycenia pada przedmiot. Podróż ta, żeby nie była bez korzyści dla mych synów, przybierałem do towarzystwa często biegłego w rysunkach, z którym najciekawsze widoki przenosili na papier — o! wieleż to momentów sprawiło nam miłych! spotykaliśmy w tej podróży wiele biegłych rysowników i malarzy, za których wyborem i smakiem idąc, nabierali moi synowie doświadczenia, jak, i gdzie o szczególnej piękności sądzić mieli. —


Nasyceń to rozbiorem różnych ciał mineralogicznych, to rozumowaniem przez zoologią nad początkowym utworem tych olbrzymich mas granitowych, na których zdaje się ziemia spoczywać; to zapuszczaniem się w głąb wieków zawiązku i zarodu tych gór niebotycznych; przechodziliśmy do wiadomości jeograficznych

i dziejów państw różnych. Staralem się w tém wszystkim ukarmiać dusze mych synów prawdami moralnemi, prawdami religii, o potrzebie najwyższego początkowego jestestwa, którego niepojęta mądrość nadała tym martwym bryłom, tak jak całej posadzce ziemi i zwierzchni niebios, niemylnie prawa, z których ścisłego dopełnienia zjawił się ten porządek; ta harmonia w całym związaniu świata, jako najmniej oświeconego czleka, oko postrzega!

Z przekonania starałem się ten obraz wielkiej prawdy mym synom wystawiać, aby ją w młodych sercach zaszcześcić, a ztąd do religii i uwielbienia stwórcy na całe życie przysposobić. Człowiek z dzieciństwa nałogiem i przyzwyczajeniem tylko prowadzony, obojętném okiem patrzy na utwory, ani się wznosi myślą do stwórcy!

Takimi podróżami literackimi u-
krzepiwszy dusze i ciało, wracaliśmy
do Drezna na rozpoczęcie zwyczaj-
nych nauk. Niemogę opuścić, jaką
dla mnie i mych synów pomocą była,
w celu rozszerzenia wiadomości, bi-
blioteka publiczna w japońskim pała-
cu założona. Biblioteka ta zawiera
w sobie zbiory wielkie i szczególne,
między innemi ma psalterz pierwsze-
go druku 1457., o czém w mych
czasiech pobytu w Paryżu, nieosza-
cowany pan Vamprat już mnie był
uwiadomił.

Sekretarz téj biblioteki, pan Hem-
pel, był nauczycielem języka niemiec-
kiego mych synów, przez niego otrzy-
mywałem wolność brania wszelkich
książek do stancyi moim synom, w na-
uce potrzebnych.

Przy takich wszelkich do rozsze-
rzenia światła sposobnościach,  upły-
wały już dwa lata, upływały nie bez

korzyści, ale żadnej nie stawiały perspektywy dalszych naszych losów. Trzeba było już myśleć o wyprowadzeniu synów z szkolności i osadzić ich w stanie pewnym sławy i fortuny na przyszłość, w stanie, któryby odpowiadał ich wartości i szczęściu. Ale pogrążony w takich zamysłach, nie znajdowałem przedmiotu, na którymby troskliwość moja spocząć mogła.

Przekonany, iż tylko jedna kolej wojskowa dla mych synów z wielu względów przypadła, szczególnie w wszystkich częściach matematyki doskonalić ich starałem się. Ale któreż wojsko wypadło wybrać? ojczystego nie było, w sercach ojca i synów trudnym był wybór; skłoniłem się jednak bardziej ku służbie rosyjskiej.

Poczynilem nawet już ku temu kroki, ale osoby, co zamilczę, którym me zamysły i żądania odkry-

łem, zostawiły mnie nawet bez odpowiedzi. . . . Nie zadziwiła mnie ta twardość, bo już w szkole nie-szczęście wychowany, znałem ludzi, znałem losy, przez fortunę opuszczonych! . . . Składałem me nadzieje w ręce opatrności, i ani dałem poznać synom cierpień moich. Kończyłem zawsze ich nauki, a sposobiąc ich do przyjęcia nieprzyjaznych losów, wystawiałem im częściej, jak zwykle okropne położenie człowieka bez ojczyzny, bez majątku. . . .

Czas! który w swym biegu wszystkie nieprawości zaglądza, co gwałtom nawet sprawiedliwości nadaje piętno, zdał się i naszej ojczyzny napad i rozbiór prawności okryć cechą.

Takie rozumowanie rozkwiliły serca ojca i synów, tém czuliej, że zdał się wszelkiej nadziei promyk ginać

na zawsze. . . . Lecz jakże są mylne domysły i mniemania człowieka!

Rok 1806. zjawił dla całego świata nadspodziewaną epokę, w którym nim opiszę, jaka i dla mnie w tym czasie nieprzyjazna wypadła kolej, pierwój choć w szczupłych ramach tego nadzwyczajnego zjawiska zamknę obraz.

Już w roku 1805 Napoleon Bonaparte, obruszony przeciw Anglii, iż traktatu w Amiens zawartego nie dotrzymywała, zagroził jój wylądowaniem. . . . A lubo i duch narodowy i przeszkody fizyczne zasłaniać zdały się zupełnie Anglią od téj napaści; wszelako roztropność w tak ważnej radząc się sprawie, znalazła sposoby decydować Anglią i Rosyją, do wydania wojny Francyi. . . . W takowym związku starały się wszystkie strony skłonić Fryderyka Wilhelma III., króla pruskiego, aby się

do nich przyłączył. Król ten przecie nieporuszony w swój polityce, oświadczył, iż w zupełnej neutralności zostawać będzie; . . . ale równie, gdy Napoleon o téj skrytej dowiedziawszy się koalicji, wysłał generała Duroc do króla pruskiego z propozycją, aby się z nim wiązał. Tę odebrał odpowiedź: „iż gdyby Austria i Rossya nie miały jego poważać neutralności, wtenczas zwiąże się z Francją.“ Tę rezolucją króla, przypisywano powszechnie w swym czasie ministrowi Hardenberg, bez którego, mówiono, król byłby do koalicji przeciw Francji przystąpił.

Napoleon odebrawszy tę wiadomość, a razem wiedząc, że ów sławny nieszczęściami jeneral austriacki, Mak, już był na papierze wyrachował jego zagładę, tak nagle wojska swe zebrał, i tak szybko postępował, iż we dni 14 stanął w Niem-

czech; prawda, że neutralność króla pruskiego zgwałcił, bo samowolnie przez kraj Anszpach przeszedł, ale to mu skróciło drogę, i nagłym, czyli niespodziewanym napadem tak generała Mak zmieszał, iż ten się z całą swą siłą w Ulmie zamknął. Czego później Napoleon w tej kampanii dokazał, jak całą armią austryacką poraził; jak wreście wszedł jako zwycięzca do Wiednia, to dzieje obszernie piszą.

Ja tylko po krótkce postępując do mego zamiaru wspomnę, iż to gwałtowne przejście przez Anszpach wojska francuzkiego, obraziło całą monarchią pruską i jej spokojnego króla; ale że nie wziął prędkiej, jak w tym razie wypadło rezolucyi, do nowych zwycięstw posłużył Napoleonowi. Dwór, ministrowie i generalowie, na dwie podzielili się strony: Hardenberg był za Anglią, marszałek Mōlendorff,

w poniżeniu Austrii widząc wzrost królestwa pruskiego, był za pokojem; ksiązę brunświcki, ksiązę Hohenlohe, Kalkraiter, Rüchel, Blücher, generałowie, byli za wojną; generał Zastrów był przeciw wojnie.

Na czele będących za wojną, był ksiązę Ludwik Ferdynand.

W tém chwianiu się gabinetu berlińskiego, cesarz wszech Rossyi Aleksander, spiesząc na pomoc Franciskowi, cesarzowi, zboczył do Berlina, gdzie króla znalazł w namysłach. Widział on z jednej strony nadzwyczajny jeniusz Napoleona. Widział z drugiej strony perspektywę kosztownej wojny.

W tym stanie rzeczy znalazł przecie szczególną pomoc Aleksander w determinacji królowej, która przeżona myślą, iż Napoleon dynastyą brandenburską zagładzi, skłoniła króla iść za głosem publiczności i przy-

stąpić do związku z Aleksandrem przeciw Francyi.

Ta namowa zrzędziła owę sławną konwencyą poczdamską, gdy ci obadwaj monarchowie wstąpiwszy w sklepienia ciemne, gdzie Fryderyka W. spoczywały popioły, poprzysięgli sobie na nich wzajemną przyjaźń i połączenie sił na zwalczenie Napoleona potęgi.

Lecz po wyjeździe Aleksandra z Berlina, gdy się dowiedział król, że wojsko rossyjskie zapóźno armii austriackiej w pomoc przyszło, tak, iż zwycięzca Napoleon szczątki wojska austriackiego ku Morawii ścigał, nowa w gabinecie berlińskim urodziła się do narady przyczyna. W tym gwałtowném rzeczy nadspodziewanie położeniu, gdy się różne różnych rozwijają zdania, radcy gabinetowi Lombard i Bejm, skłonili króla, aby wysłał kogo do Napoleona, w zamiarze

negocjowania o pokój. Przychylił się do tego król i dysgracyowany minister Haugwitz, jako francuzkiemu gabinetowi przyjazny, z swego ustronia do dworu wezwany został. Podjął się Haugwitz negocjacyi i jeszcze Napoleonowi przed batalią austerlicką zabiegł drogę. Lecz zwycięzca negocjować nie chciał, mówiąc, że batalią decydującą wydać gotów. Jakoż wydał ją pod Austerlitz, i jak wiadomo, wygrał ją 2go Grudnia. Mówią, że jak Haugwitz Napoleonowi list od króla oddawał, Napoleon z uśmiechem miał mówić: „nie myliszże się wacpan, bo podobno dwojakię masz listy, jeden ofiarujący pokój, drugi wojnę?”

Wygrana pod Austerlitz, zaniósła trwozę do Berlina. Haugwitz w 8 dni dopiero po batalii, audyencyą w pokojach Maryi Teressy u Napoleona pozyskał. Gdy zaczął mó-

wić o neutralności swego monarchy, Napoleon dobył konwencyą poczdamską i rzekł: „znasz wacpan ten dowód, który jawnie tłómaczy zamysły pruskie?“

Napoleon domagał się od rządu pruskiego:

1. aby był czynnym przeciw wspólnym nieprzyjaciółom,
2. aby wziął w possessyą Hano-
wer,
3. aby Francyi odstąpił Anszpach,
Kliwią i księstwo Neuschatel.

Haugwitz wspomniał Napoleonowi, jak bolesno będzie królowi odstąpić Anszpach, gdzie pierwszy szczerp domu Hohencoleru powstał. Napoleon na to z śmiechem: „ej, gdy człek do lat większych przychodzi, wyrzuca kolebkę.“

Wkrótce wojsko pruskie na stopę pokoju poszło. Cała publiczność nieukontentowana, mniemała widzieć

sławę narodu shańbioną. Haugwitz miał okna wytłuczone. Paszkwile zewsząd się sypały.

Témczasem Napoleon, zwycięzca, zawarł pokój z Franciszkiem, cesarzem, zawojowane prowincye rozrządził. To olbrzymie dzieło w dwa miesiące ukończywszy, wjechał z tryumfem do Paryża.

Król pruski zawartym tym trakta-tem, obraził Anglią, Rosyją i Szwecyją. Anglia się obruszyła za Hano-
wer odebrany i t. d. W Berlinie burzliwe snuły się zamieszania. Ze wszystkich stron dawał się głos sły-
szyć: wojna! wojna! Partya angielsko-rossyjska co dzień wzrastała; upadała francuzka.

Królowę przekonano, że Napoleon wszystkie dawne dynastye chce obalić, że ztąd jój mąż i dzieci na zawsze tron utracą.

Luchesini, poseł pruski, powróciwszy z Paryża, miał podobno największą dać wagę téj opinii, gdy donosił dworowi, że na przyrzeczenia Napoleona spuszczać się nie można; Francya chce zniszczyć dom Hohencolerów, i wkrótce maskę przyjaźni zdejmie. Wszystka młodzież cywilna i wojskowa, wiązała się z chcącymi gwałtem wojny; ztémwszystkiem zimną krwią rozbierający rzeczy obywatele, nazywali zawrotem głowy takowe życzenia. Każdy rozsądny mniemał, iż jeżeli król pruski miał być wydać wojnę Francyi, to przed batalią austerlitzką, a raczój zaraz po złamaniu neutralności i przejściu Napoleona gwałtownym sposobem przez Anszpach; ale ta pora, gdy minęła, wydanie teraz wojny, może być tylko w głowach niedojrzałych, tylko wróżbą zguby państwa pruskiego.

Do tych zdania przywiązał się Fryderyk, ale w krótkce potém zmieniły się rzeczy.

Pewnego poranku król sam zlecił adjutantom, żeby wysłani kuryerowie powieźli rozkazy do powszechnego poruszenia armii. Każdy rozważny na to westchnął i nieszczęśliwe wypadki rachował. Każdy mówił, czemuż to nie stało się 1805.? Dodawał drugi, jakże się Austria natrzęsać będzie z naszej nieuwagi, gdy zostawiwszy samę w zapasach z Francją, dziś sami znowu walczyć chcemy? Wszyscy oświeceni Prusacy oskarżali Lucchesiniego, iż on króla na tę wojnę naprowadził, ponieważ on, jako poseł w Paryżu, zapewniał króla, że Napoleon o jego koszcie chce zrobić pokój z Anglią, oddając ję Hanower, odebrawszy go Prusakowi. Tak się przysłużył ten człowiek nieraz monarchii pruskiej,

gdy całe wyniesienie swoje winien był Fryderykowi II., który go swym przyjacielem nazywał. Prusacy jedni posądzili go o zdradę, drudzy o płochość.

Jak się nagle zawiązała wojna, tak nie miała pewnego rysu, ale, co najgorszego, nie było kogo na jej czele postawić. Król, z najlepszem sercem, jednomyślnie powiedzieli Prusacy, wybrał sobie za zastępcę księcia brunświckiego, który w swój młodości niezaprzeczone miał talenta; ale już prawie zgrzybiały, chorowity, mógł być jeszcze o rzeczach wojskowych rozumować; ale do ich wykonania żadnej już zręczności nie miał; szczególnie, gdy nowe szybkie zwroty wojenne wcale nie były mu znane....

Wojsko całe nie było kontente z tego wyboru, i dla swego dowódcy prawie żadnego nie miało szacunku! Brakło na czynnym jeneralnym

intendencie do opatrywania potrzeb wojennych! brakło na szpiegach!.... brakło na dokładnej wiadomości miejsc, brakło na postawieniu przyzwoitém rezerwy Między jenerałami nie było zgody! — Książę brunświcki szczególnie nie cierpiał księcia Hohenlohe!

Wszystko to smutne wróżyło wypadki, aż gdy nareszcie skupione wojsko pod Jeną i Auerstädt nie miało postaci armii, ale raczej wielu dywizyów, między którymi nie było związku.... bo wreszcie, jeżeli jaki plan królowi podano, książę brunświcki go odrzucił.

Na ten cały początkowy ruch patrzałem w Dreźnie i zdało mi się, że Francuzi pobici będą, ile że cesarz Alexander przywiązał się chętnie do téj wojny, ale się nie mógł tak prędko wybrać! — Ruska armia dopiero na końcu Października Niemen prze-

szła; — przednie straże nie doszły jak do Łowicza! — Wkrótce się rejterowali ku Narwi; elektor naówczas saski, poniewolnie musiał się deklarować za wojnę i wielkie dać posilki! — przy tak spóźnionym marszu Rossyan pojąć nie można było, jak się Fryderyk III. sam chciał rzucić na potęgę francuzką!

Tymczasem armia pruska nagle pod bronią stanęła! — każdy się zdziwił nagłemu marszowi, gdy wojsko na 10. Października miało już opanować lewy brzeg Sali. Wielka część tego wojska przechodziła przez Drezno, z swęj postawy i wyćwiczenia wiele obiecującego! — Tak, gdy już armia w wielkiej swęj massie w okolicach Turyngii znajdowała się i zaczepnie działać zacząć mogła, król wielką radę wojenną złożył 6. Października w Erfurcie.... Wszyscy jenerałowie, poradcze zdania mający, byli za woj-

ną. Möllendorff, Hohenlohe i Rüchel, mający zdania stanowcze, do nich się skłonili. Tu Lucchesini, jak wróg nieszczęścia, głos zabrał: „Napoleon zaczepnie działać nie będzie, gdyż przed Listopadem wojska swego nie zgromadzi!“ Sprzeciwiali się temu mniemaniu wojskowi, ale król się odezwał: że Lucchesini lepiej znał Napoleona, jak wszyscy przytomni! To zdanie Lucchesiniego podchlebiało wielce niedoleźności księcia brunświckiego i wyrok zapadł, iż wojsko postawi się w pozycyi obrończej na lewym brzegu Sali przy Hochdorff, ale to do skutku nie przyszło!

Już 7. Października w nocy hrabia Tauenzien zaraportował, iż przez nieprzyjaciela z stanowiska swego wypartym został!...

Wnet 10. Października wypadła nieszczęśliwa utarczka księcia Lu-

dwika, w której trupem poległ pod Saalfeld. Nieumiarkowany w swym zapale, mając 6000 ludzi, chciał walczyć z Francuzami, którzy już w sile 30,000 ludzi przeciw niemu stali!

Ta mała potyczka wielkie miała skutki! Francuzi przeszli Sałę . . . Wnet ksiązę brunświcki postrzegł, że mu już Francuzi tył wzięli!

Kiedy w czasie nawałnicy okrętem burza miota, jeżeli niema pewnego sternika, na próżno lzy się leją i modły się wznoszą, — okręt tonie!

Napoleon przez nadzwyczajne obroty wojenne w nocy z 13go na 14go Października okolice Sali zaległ, i z rana dnia 14. w oczach nieprzyjaciela chorągwie rozwinął; batalią wydał i — zwyciężył!....

Jeden niemiecki pisarz, wojskowy, uważa, że batalie pod Jeną i Auerstädt dla tego musiały być przegrane, że dwie były! Przecież, co pewniiej,

że armia pruska możeby się była ku Elbie przez Naumburg dostała, gdyby na początku zaraz batalii książę brunświcki nie był ranny, gdyby, nieutraciwszy jeszcze zmysłów, był komendę Möllendorfowi oddał; ale gdy tego nieuczynił, wojsko zostało bez dowódcy i król dopiero późno, bo 15go Października o tém zdarzeniu uwiadomiony został i nad rozprochem swego wojska naczelne dowództwo księciu Hohenlohe powierzył....

Ale to już było za późno! i ta dzielna piękna armia pruska, której część widziałem w Dreźnie, w dni siedm zupełnie zniszczoną została; rozproszone jój reszty widziałem znowu w Dreźnie!

Królowa i król pruski udali się po takiej klęsce do Kiestrzyna, gdzie nie widząc się być bezpiecznymi, wyjechali 26. Października do Królewca, zkąd później do Memla, a w tym

czasie już téż Napoleon 27. Paźdz. o godzinie 4tej po obiedzie wjechał do Berlina, stolicy niegdyś Wielkiego Fryderyka.... Lud zapomniał się lekkać żołnierza, a zwracał z chciwością oczy na widzenie nadzwyczajnego człowieka. Szulemburg, opuściwszy Berlin jako gubernator, oddał po sobie rządy księciu Hatzfeld, który nieostróżnie pisał do księcia Hohenlohe o wszelkich obrotach armii francuzkiéj; listy te, gdy przeczytano, Napoleon kazał księcia zaaresztować; załęczniona jego żona rzuciła się do nóg cesarza; na to cesarz oddał jéj zdradliwą korespondencyą męża i od kary uwolnił. Ta wspaniałość zwycięzcy godna pamięci!

Od przybycia Napoleona do Berlina co moment przybiegały nowiny o kapitulacyi różnych korpusów pruskich, o poddaniu się fortec szlązkich.... Tak dalece, że sam zwycięzca po-

wiedział: za ledwo oczom moim wierzę, co widzę, tyle kapitulacyi, tyle trofeów i t. d.

Nad ten wypadek nie w dziejach ludzkich mocniej nie może dowodzić, jaka jest moc opinii i postrachu panicznego, do którego przywieszuje się trwoga lękliwa i bezuważna, co człowieka mocy rozumowania pozbawia! Do takiej trwogi przywiązała się tak nazwana zdrada, różnych fortec komendantów, która przecie w gruncie nie była tylko skutkiem téj trwogi powszechnéj, co wszystkich umysły omamiła. Tak dalece, że szczątki wojska pruskiego, aż do Lubeki pierzchały i książę Hohenlohe pod Prenzlau z swym się korpusem poddał!

Już 27. Października wojska francuzkie Frankfurt nad Odrą zajęły. — Drugiego Listopada Kiestrzyn, forteca, mająca 4000 garnizonu, na przybycie 250 konnicy francuzkiéj poddała

się i garnizon cały jako jeńcy do Francyi odprowadzeni byli. Wreszcie Magdeburg, ta forteca prawie niedobyta, mająca 22,000 garnizonu, niebędąc nawet bombardowaną, poddała się 11go Listopada. Ta nowina wielce ważną była dla Napoleona. Król pruski z całym narodem uważał oczywiście zdradę starego generała Klejst, który był gubernatorem Magdeburga. Rozlały się po całym kraju paszkwile, krytyki na całą tę kampanią. Król przez wydany dekret wielu generałów i oficerów pokassował, a powszechnie mawiał: nie byłem zwyciężony, tylko zdradzony!

Mnóstwo pism o tém czytać można, ale, co nie jest tak głośném, przytoczę szczególne zdarzenie pana Lombard, radcy gabinetowego i wielkiego faworyta króla. Był on synem perukarza z Berlina, ale przez wrodzony dowcip i odebraną edukacją

był duszą gabinetu i najmocniejszy z całego dworu w języku francuzkim. Jego pióro pisało manifest wydanęj wojny Napoleonowi, dla tego przed jego przybyciem do Berlina schronił się do Szczecina. Królowa tam przybywszy, kazała Lombarda aresztować. Zaprowadzono jako zdrajcę radcę gabinetowego do więzienia w asystencyi rozjadłego pospólstwa Zadawano mu, iż ekspedycyą ważną, którą miał Krusenmark do Petersburga zawieść, dni 12 u siebie zatrzymał, tak iż przez tę zwłokę tyle dni później Alexander o wydanęj wojnie odebrał wiadomość. Taka zbrodnia, gdyby dowiedzioną Lombardowi została, powinienby być jak zdrajca państwa sądzony, ale zdaje się, iż tak nie było, gdy król wkrótce z więzienia go uwolnił!

Ale wkrótce i Szczecin był zagrożony, zaczęł król i królowa udali

się do Grudziądza 2go Listopada, gdzie króla dopiero te wszystkie doszły okropne wiadomości! Wkrótce, bo 13go Listopada, gdy się już i pod Grudziądem Francuzi pokazali, królowa do Osterrode się udała. Gdy te zamieszania i rozpacz całą zajmowały monarchią pruską, Napoleon, spoczywając na laurach, dalszych obrotów układał rysy w Berlinie; odwiedzał całe miasto, lecz szczególnie w Poczdamie zwłoki Wielkiego Fryderyka odwiedzał. — W dzień ten tak uroczystego obchodu, Napoleon, cały dwór jego, a nawet i liberya w wielkim galowym była ubiorze. Gdy Napoleon wszedł do grobu Wielkiego Fryderyka, te pamiętne wyrzekł słowa! „gdybyś ty żył, jabym tu nie był!“ Szpadę, którą Napoleon Fryderyka w Poczdamie znalazł, co prędzej jak największe trofeum do Paryża odesłał.

Zdało mi się aż dotąd historii powszechniej o tej wojnie dotknąć, żeby czytelnik widział, jaki los do Napoleona mnie w tej wojnie zbliżył!

Gdy już Napoleon wojsko pruskie był rozproszył i ku Berlinowi zmierzał, jak wspomniałem, bawilem z moimi synami w Dreźnie i na te zwycięstwa skutki patrzałem... Co zdać się może do wiary trudnym, a przecie jest samą prawdą, iż ja z marszu Napoleona ku Berlinowi wniosłem, iż on przez Polskę ścigać swych nieprzyjaciół będzie i królowi pruskiemu zabrane kraje polskie odbierze. Że w Polsce siły swe koncentrować, Polaków uzbrajać i magazyny zakładać będzie.... To sobie wnosząc, postrzegałem w mojem rozumowaniu prawdę drugą, iż cała Polska zrewolucyonowaną na nowo zostanie; a w takim stanie rzeczy mnie w spokojności nie zostawią, ale znowu do

działań rewolucyjnych, jako prawdziwego patriotę, wezwą! — Te przechodzące myśli, ile mi z jednej strony podchlebne względem odrodzenia się Polski stawiały widoki; tyle z strony drugiej nieukojonęj, aż dotąd trwogi obudzały we mnie uczucia... Upadek rewolucyi francuzkiéj i zgrozy, które jéj towarzyszyły... upadek w haniebny sposób rewolucyi naszéj, tyle mi odrazy na samo wspomnienie rewolucyi wszelkiéj czyniły, iż słowo „rewolucya“ okropnych wypadków na umyśle moim rysowało mi obraz.... Przystępowały do tych czarnych myśli własne moje przez lat tyle cierpienia... Żona i dzieci w wypadkach rewolucyjnych wszystkiego pozabawione, na nowo mi się wystawiały, gdybym w nowe zamieszki polityczne wciągnięty został....

Temi uwagami dni wiele dręczony, przedsięwziąłem nakoniec, cały będąc

w rozpaczy, usunąć się z Drezna i gdzie w okolicach Luzacyi, na pograniczu Szlązka, czekać rozwinięcia się téj sceny... Po takiej determinacyi, ukrywszy synom me zamiary i ich przyczynę, ulokowałem ich na pensyi u profesora matematyki pana Zatlera, a sam najawszy furmana, puściłem się w podróż... Lecz przeznaczenie inaczej mieć chciało! Wysłany po mnie adjutant z Berlina generała Dąbrowskiego, Kobyliński, gdy mnie w Dreźnie nie zastał, ścigał mnie pocztą ku Luzacyi i granicy szląskiej. Jakoż już byłem o mil kilkanaście za Dreznem, gdy tenże adjutant w kokardzie francuzkiej zatrzymuje mego furmana i pyta się: „wszak waćpan jesteś Wybicki?“ Pomieszany tym widokiem, odpowiadam: jestem! Na co on: a więc wracaj się waćpan ze mną do Berlina, do Napoleona, taka bowiem jest

jego wola! — Na takie wezwanie poruszeń we mnie nagłych i uczuć opisać trudno! Kiedy się jednak wzbraniał, oddał mi list własnoręczny generała Dąbrowskiego z wezwaniem, żebym bez stracenia momentu do Berlina do cesarza Napoleona przybywał. Na to nie pozostało mi jak tylko w największym pomieszczeniu pożegnać się z furmanem i wsieść na pocztę z adjutantem, z którym tę najpierwszą robię umowę, abym na moment wstąpił do moich synów w Dreźnie dla ich dalszego urzędzenia.

Preszło czasu wiele, iż zanurzony w odmęcie rodzących się myśli, słowa do mego towarzysza podróży nie przemówilem, ani mu na jego zapytania nie odpowiadałem. Zamilkłem zupełnie taka jest moc nadzwyczajnych zdarzeń, które zwykły bieg działań umysłowych paraliżować, a

nawet sily fizyczne wprawiając w jakąś niemoc, między życiem i śmiercią stawiają w niepewności człowieka!

Budził mnie przecież z mego leżargu towarzysz podróży, powtarzając: Napoleon wróci nam Polskę... wróci ojczyznę... Takie są jego zamiary... na co w nową niespokojność rzucony, odpowiadałem: ale czy ja odpowiem jego celom?... czy potrafię usłużyć mojej ojczyźnie w przekładaniu jej sprawy, chcącemu ją zbawić? Jakże przed takim bohaterem stanąć i mówić?... może nie znalazłszy we mnie ani tych darów, ani tych wiadomości, jakich się może spodziewał, oddalić mnie się od siebie znak wyda... i t. d.

Wpadaliśmy ztąd w różne uwagi i rozumowania. Przeglądałem, iż, jeżeli Napoleon użyje mnie do jakich czynności w kraju, zostanę w przypadku niepomyślnych obrotów rzeczy

wystawiony na gniew rządu pruskiego; ale ta obawa o los osobisty ustępować musiała przedmiotowi większej wagi, jakim była usługa publiczna! — W takich namysłach i rozmowach przybywszy zrana do Drezna, odwiedziłem nasamprzód rzadkiego z cnot człowieka Waleryana Bielińskiego, któremu pod wielkim sekretem musiałem całą wyjawić tajemnicę, bo jego najlepszemu sercu i wsparciu musiałem oddać mych synów, których odwiedzając, zastałem właśnie po skromnym śniadaniu wybierających się na lekcye. Przywitania się i pożegnania naszego nie będę opisywał... czuły to był widok ojca, jak ja, z synami tak dobrymi!... nie mogłem im objawić celu méj podróży, wspomniałem tylko, iż wkrótce dam im o sobie wiadomość, zachęcając, aby zwyczajne kończyli nauki. Żegnając się

nie bez rozrzewnienia, pomyślałem :
siadam na łódź, która, jeżeli się roz-
bije, już dla was, ukochane dzieci,
szczęśliwego portu nie będzie! . . .

Koniec Tomu Piątego.



